Numer 40 Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 2 Października 1927



ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

To co innego.

Właściciel stawu: „Panie, co pan tam robi. Czy pan nie wie, że w tym stawie nie wolno ryb łowić?“

Rybak przygodny, który od 3 godzin czeka nadaremnie na złowienie ryb: Nie łowię żadnych, tylko je żywię.“



Niema straty

Mąż: „Ależ, żono, tak przeprosiłaś dzisiejszą zupę? Na co odzywa się jego synek Franek mówiąc: „Ej, to nic ojcze, sól nas nic nie kosztuje, podarowała nam ją ciotka.“

Niespodziewana odpowiedź.

Nauczycielka: „Powiedzcie mi przeciwieństwo od słowa „wolne“.

Uczennica: „Zajęte“.

Podczas nauki rachunków.

Nauczyciel: „Jeśli na ubranie potrzeba mi 3.10 metry materjału, metr po 3.20 złote, ileż więc muszę zapłacić?“

Moryc Szłojme: Pan nauczyciel jest wysokiego wzrostu, więc 3.10 materjału nie starczą na ubranie. Pan nauczyciel jest eleganckim panem, więc nie kupiłby sobie lichoctwa, po 3.20 zł... Wreszcie pan nauczyciel jest człowiekiem rozumnym, więc kupi sobie ubranie gotowe, u mego ojca, u którego się właśnie odbywa wysprzedaż po najtańszych cenach.



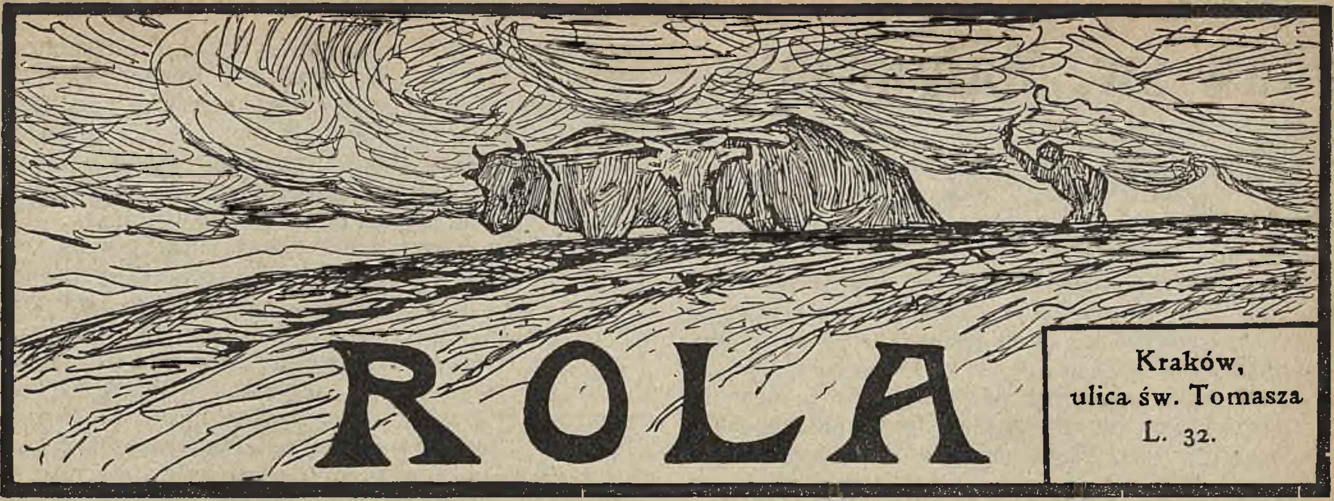
Miłość dziecięca.

Nauczyciel z historji świętej opowiadał o szacunku Józefa dla ojca swego Jakóba i o tem, jak go przyjmował w Egipcie. Pragnie przytem wywołać u dzieci miłość dziecięcą, więc pyta Franka syna stróża:

„Więc jak sobie postąpisz, gdybyś np. został kiedyś ministrem i widziałbyś naraz ojca twego, zamiatającego ulicę przed domem?

Franek: Odwróciłbym się w drugą stronę.

Numer 40. Rok X. Kraków, dnia 2 Października 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Jak należy żyć?

Mieszkaniec miasta późną nocą dopiero idzie na spoczynek, a już bardzo wcześnie obowiązek wyrywa go z łóżka. Pospiesznie się ubiera, zjada śniadanie, a drogę do biura, fabryki, czy szkoły stara się odbywać możliwie najszybciej, jest to dlań codzienna próba pobicia rekordu; nie zważa wtedy na poważne niebezpieczeństwa.

A więc bez wypoczynku w pośpiechu z bijącemi silnie pulsami walczy on o każdą minutę. Rozpoczyna pracę już zmęczony; wszystko go popędza, praca potęguje jeszcze wyczerpanie nerwów z dnia wczorajszego. Organizm codzień jest podcinany świadomie, jakby celowo.

Tymczasem w godzinach porannych człowiek powinien mieć pewne wygody i spokój wewnętrzny, bo tylko w ten sposób można zdobyć równowagę i pogodę ducha, pozwalając na to, by zwycięsko przeciwstawiać się przeciwnościom dnia. I dlatego właśnie należy zawsze wstawać o całą godzinę wcześniej, niżby się wstawać musiało. Ta godzina bowiem stanowi olbrzymi zysk.

Błędem naszym jest to utożsamianie wypoczynku z rozrywką i dlatego po pracy nastawiamy gwałtem organizm nasz na rozrywki, zamiast pozwolić mu uprzednio wypocząć. Zmęczenie i wyczerpanie zwalczamy różnymi pobudliwymi środkami, a na wypoczynek, zastanowienie zawsze brak nam czasu. Nawet, gdy udajemy się do dobrych znajomych czy przyjaciół, wpadamy i wywołujemy zamieszanie, musimy jeść, pić, rozmawiać. Znowu więc wyczerpanie nerwów, zamiast odpoczynku dla nich.

Niewłaściwy sposób odżywiania odbija się również fatalnie na nerwach; najważniejszy posiłek przyjmujemy w przerwie między pracą. Trawienie wymaga od organizmu pewnego odpoczynku, nawet umysł jest wtedy mniej wydajny. A jeszcze więcej zmęczony czuje się człowiek, który musi pracować zaraz po obiedzie. Cierpi zaś na tem trawienie, samopoczucie i zdrowie.

A jak jemy dziś?

Z zasady uważamy siebie za pozbawionych apetytu i dlatego doprawiamy potrawy przeróżnemi korzeniami. Jemy zresztą za wiele. Często bardzo jedzenie z potrzeby staje się tylko przyjemnością.

Takie wieczorne zajadanie się podnieca i wyczerpuje; należy tedy pójść spać dopiero po uspakajającej przechadzce. Nawet współczesny rozwój sportów ma swoje dobre strony, ale doprowadza bowiem nieraz do wybryków i nadużyć. Bo sport powinien być jedynie środkiem do ćwiczenia i umacniania ciała. Żądza rekordów to występek przeciw własnemu zdrowiu.

Już dziś zaczynamy dochodzić do wniosku, że właściwie niedzielny wypoczynek nie wystarcza, bo z dnia na dzień gromadzą się w nas resztki wyczerpania; stąd powstała myśl korzystania dla wypoczynku i z soboty, stąd konieczność dłuższego urlopu.

Jeśli jednak pragniemy dać organizmowi możliwie dobre warunki istnienia, trzeba pozwolić mu wypocząć od czasu do czasu, lecz i to jest najważniejsze, by dać mu możność unikania warunków, które go szczególnie wyczerpują. A w tym celu należy gruntownie zmienić warunki życia. Ale to jest możliwe wtedy dopiero, gdy wyrobimy sobie odpowiednie poczucie smaku. Bo człowiek ze smakiem poszukiwać będzie zawsze naturalnego, a więc zdrowego wypoczynku, czy rozrywki. Nie pociągnie go ani karczma, ani podejrzany teatr czy kabaret, gdzie nietylko pełno dymu i wyziewów, lecz, gdzie atmosfera jaknajmniej odpowiada potrzebnemu wypoczynkowi dla nerwów.

Oczywiście uwagi powyższe odnoszą się do mieszkańców miast, wie:śniacy odpoczywają wówczas, gdy w tem nie przeszkadza im nagła praca.

Staw św. Małgorzaty.

Z ogromnym wrzaskiem radości przyjęto mowę pana syndyka i wnet panowie radcy rzucili się sami ku księdzu, by mu własnemi rękami zatkać usta.

W tejże chwili otwarły się z trzaskiem drzwi sali radnej i wpadł przez nie Grzegorz Górecki, starszy z przedmieścia Rozbarskiego z dwoma obywatelami.

— Panie burmistrzu! panowie radcy! — wołał Górecki zdyszany, od zmęczenia ledwie oddech chwytając — na miłość Boga, na rany Chrystusa Pana, cóż tu robicie?

— Co wy tu robicie? — odparł burmistrz — o to się mam was prawo zapytać.

— Chciałem mieć u was posłuchanie — odrzekł zapytany — bo mię doszły słuchy, że się tak nieludzko, nie po chrześcijańsku obeszliście z naszymi Duszpasterzami. Prosiłem straży, by mnie do was przepuściła, nie chcieli...

— I dobrze zrobili — przerwał burmistrz. — Do tej sali nie macie prawa wchodzić, bo tu wstęp dozwolony tylko mnie, radcom, no i winowajcom; chyba, że do tych ostatnich i was policzę. A zasłużyliście na to, bez pozwolenia mego się tu wdzierając. Ale któż ośmielił się bez zezwolenia mego was tu wpuścić?

— Kto? — te oto ręce — odparł Górecki. — Siłą sobie wstęp otworzyłem i oświadczam wam panie burmistrzu, że znów użyję tej siły, a nie ja tylko, ale my wszyscy z Rozbarku, jeśli natychmiast naszych księży nie uwolnicie. Jesteśmy wiernymi poddanymi księcia na Koźlu, który nam księdza Piotra przysłał na plebana, chcemy szanować jego wolę, słuchać i mieć naszych duszpasterzy. Dopuściliście się na nich gwałtu, który o pomstę Boską i ludzką woła, przeproścież ich i wypuście na wolność, bo inaczej siłą ich odbijemy!

— Co? — krzyknął burmistrz. — Wy mi tu prawa i rozkazy będziecie dyktowali? Wy nędzne chłopy Rozbarskie? mnie burmistrzowi i sławetnej radzie bytomskiej? Ha! tego już nadto! Precz! precz mi z oczu natychmiast! Hej! hajducy! wyrzućcie tych chamów! Porachuję się jeszcze z wami za to zuchwalstwo, tylko wprzód z tymi dwoma się uporam! Precz! Precz!

Pieniąc się ze złości, tupał nogami i krzyczał burmistrz dopóty, póki nie nadbiegli słudzy, a chwyciwszy Góreckiego, nie wypchnęli za drzwi. Dwaj jego towarzysze poszli za nim, odgrażając się i złorzecząc Fabrycemu.

Po tem zajściu naglił burmistrz, by załatwić jak najrychlej sprawę z dwoma duchownymi. I radcy byli za tem, obawiając się, by Górecki nie zebrał mieszczan z przedmieścia Rozbarskiego i nie przeszkodził ich bezprawiu. Szybko się też sprawiono. Na wniosek burmistrza zadecydowano obu księży ukarać śmiercią za wystąpienie przeciw powadze i władzy burmistrza, jako też rady miasta Bytomia. Wyrok postanowiono spełnić niezwłocznie przez utopienie.

Zbrodnia i kara.

Skrępowanych Kapłanów Księdza Piotra i Mikołaja poprowadzono bramą Gliwicką za miasto, by ich tam utopić w stawie Małgorzaty. Spieszono się z osądzeniem ich na śmierć, śpiesznie też przystąpiono i do wykonania wyroku, bo zachodziła obawa po zajściu z Góreckim, że Rozbarczanie ujmą się zbrojnie za swymi Duszpasterzami. To też nie dawszy im nawet czasu do pomodlenia się i polecenia swej duszy Bogu, wrzucono ich do wody. Staruszek Pleban utonął natychmiast, inna była rzecz z młodszym i silnym księdzem Kapelanem. Widok grożącej mu śmierci dodał Kapłanowi sił, iż zerwał grube powrozy, którymi był skrępowany i począł płynąć do brzegu. Dojrzał to syndyk miasta Wojtacha i przywołał kata, by księdza lepiej skrępował i na nowo wrzucił na głębię. Prosił biedny Kapłan, by mu darowano życie, odzywał się do litości i sprawiedliwości Boskiej — wszystko napróżno. Rozżarty tłum miał serca twardsze od kamienia; skrępowano znów Kapłana i wrzucono powtórnie do wody. Lecz i tą razą zerwał Ksiądz powrozy. Napróżno spychał go kat co chwilę do wody, Ksiądz, co się zanurzył, wypłynął znowu. Wtedy zbliżył się mistrz rzeźnicki Lorenz i wyrwawszy jednemu z pomocników kata topór, uderzył Księdza trzy razy w ramię i głowę, poczem ciężko ranny Kapłan począł tonąć.

W tejże chwili nadciągnął od strony kościoła św. Ducha tłum mieszczan z Rozbarku, zbrojny w topory, widły, kosy, jednem słowem w co kto schwycić zdołał na prędce. Dojrzeli oni z daleka, co się dzieje w pobliżu kościoła i stawu i przyspieszyli kroku. Widząc, co się stało, jedni rzucili się do stawu, by ratować tonącego Kapłana, drudzy uderzyli na ustępujących przed nimi burmistrza i radców Bytomskich. Powiodło się usiłowaniom szczególniej Rybki i Góreckiego, że wydobyli na poły umarłego księdza Kapelana z wody i zanieśli do pomieszkania starszego Góreckiego. Mało brakowało, a byłaby krew bratnia się przelała, rozżaleni bowiem i oburzeni Rozbarczanie już doganiali ustępujących z nad stawu Bytomian, gdy nagle pośród walczących mieszczanów stanął mąż jaśniejący niezwykłą powagą, która mimowoli wytrąciła broń z ręki nacierających.

Ubrany w biały dominikański habit, głowę miał krótko ostrzyżoną i odkrytą ,prawą rękę wzniósłszy do góry nakazał wszystkim spokój i milczenie. Mimowoli strach wszystkich przejął i zapanowało grobowe milczenie.

Obcy Kapłan przemówił w te słowa:

— Dopuściliście się strasznego świętokradztwa i zbrodni na waszych ojcach duchownych, na Kapłanach! Klątwa Boża wam za to w udziale! Chciwość, łakomstwo wasze było pobudką do tej zbrodni. Te kruszce ,które wydobywaliście z kopalń waszych, wyrobiły u was te namiętności, odwróciły serca i oczy wasze od Boga, od rzeczy niebieskich, a zwróciły do ziemi, przykuły do mamony! Zamiast dziękować Opatrzności Bożej, że was hojnie udarowała, dając wam byt lepszy, niż innym, staliście się wskutek zbytniego przywiązania do doczesności okrutnikami, zbrodniarzami i świętokradcami. Dlatego od dziś odjęte będzie od was to błogosławieństwo Boże. Darmo wy i potomkowie wasi trudzić się będziecie te srebrne kruszce wydobywać ,nigdy ich mieć więcej nie będziecie, aż póki to pokolenie wasze nie wymrze. A kiedy po wiekach całych rzucicie się do wydobywania innych kopalin, by sobie przez to byt polepszyć, wiedzcie, że to podzielić musicie z obcymi, z przychodniami, nie na tej ziemi zrodzonymi! To będzie następstwem waszego niecnego występku! A teraz wejdźcie w siebie, upamiętajcie się i czyńcie pokutę za grzechy wasze! Przyjdą na was ciężkie doświadczenia, przyjmijcie je z poddaniem się świętej woli

Boga, jako słuszną karę tu na ziemi, a proście Boga, by wam choć w przyszłem życiu odpuścić raczył. Czyńcie pokutę, bo tylko tym sposobem miłosierdzia dostąpicie!

W głuchem milczeniu, drżący na ciele słuchali wszyscy słów świętego męża. Nie ziemska to być musiała istota; blask bił od niego niebieski, to też schyliwszy głowę ku ziemi, poczęli wszyscy padać na kolana, płakać i bić się w piersi. Gdy wreszcie powstali z ziemi, już tego męża nie było między nimi. Kto on był, skąd się wziął i gdzie się podział, nikt nie umiał powiedzieć. Święty to być musiał tylko. Pobożne podanie mówi, że był to pobożny Ślązak, Jacek Odrowąż, rodem z Kamienia pod Strzelcami, który nie chcąc zatraty dusz braci swych i rodaków, w cudowny sposób im się tu objawił i wezwał do pokuty, zapowiadając karę Bożą.

W milczeniu rozeszli się wszyscy do domów. Słowa przepowiedni ziściły się aż nadto prędko. Ni stąd, ni z owąd otwarły się w bogatych kopalniach Bytomskich ujścia podziemnnych wód, które je wnet zupełnie i doszczętnie zalały. Nie pomogły żadne usiłowania, by tę wodę odprowadzić, musiano wydobywania kruszcu zaprzestać.

Wkrótce wszczął się w mieście straszny pożar, który prawie całe miasto w perzynę obrócił. Śród mnóstwa domów, które wówczas zgorzały, był i dom burmistrza Fabrycego, a w nim zgorzał on sam i cała jego rodzina.

Potężny, ludny i bogaty Bytom począł upadać, bo zaciężała nad nim ręka sprawiedliwości Bożej. Ale i doczesna sprawiedliwość dosięgła miasto. Zaledwie bowiem w trzeci dzień po tych wypadkach (a było to 14 września 1367 roku) skonał z ran ksiądz Mikołaj, w tymże dniu nadjechał kurjer od Biskupa Krakowskiego ks. Florjana Mokrskiego herbu Jelita i ogłosił klątwę na całe miasto, którą potem i Ojciec św. potwierdził. Zamknięto kościoły, umilkł głos dzwonów, żadnemu Kapłanowi obcemu nawet nie wolno było udzielić Bytomianom żadnych pociech religijnych, Musieli sobie sami w domu chrzcić dzieci, sami się grzebać bez Kapłanów. Żadnemu obcemu nie było wolno się stykać i mieć jakiejkolwiek łączności, gdyż byli wyklętymi z Kościoła, a im samym też nie było wolno wychodzić poza obręb gruntów należących do miasta.

Upadł przez to handel i przemysł, miasto poczęło się chylić ku upadkowi.

A trwało to nie krótki czas, nie rok, nie dwa, nie dziesięć, ale całe siedmdziesiąt lat z okładem.

W ciężkiem tem położeniu zebrali się znów radni miejscy na obrady. Widzieli dobrze, że taki stan długo trwać nie może, odtrąceni od Matki Kościoła, uciskani przez wszystkich, byli jakoby liść odpadły z drzewa, z którym sobie jak chcą igrają wiatry. Postanowili przeto jakoś zaradzić złemu.

Nie byli to już ci radcy butni, co niedawno temu. Na twarzach wszystkich widać było przygnębienie, robak sumienia odzywał się w nich gorzkimi wyrzutami. Nie było też już pana burmistrza Fabrycego pośród nich, bo ten zgorzał w palącym się domu.

Narada trwała krótko. Postanowiono wyprawić deputację do Rzymu, aby Ojca św. prosić o zdjęcie klątwy z nieszczęśliwego miasta. Śród wysłanych byli syndyk Wojtacha, mistrz Lorenz, zakrystjan Bernard Wyrwicki i radny Greber. Spodziewali się oni przy tej sposobności (mowa tu o dwóch pierwszych), uzyskać od Stolicy Apostolskiej rozgrzeszenie za swe winy.

Podróż trwała długo, bo i czasy na świecie były wówczas burzliwe, a wskutek trudów zmarł Wyrwicki wkrótce po przybyciu do Rzymu. Wojtacha i Lorenz skazani zostali na dożywotnie więzienie w podziemiach Inkwizycji, podczas gdy sam tylko Greber powrócił, nic nie wskórawszy.

W 70 lat wreszcie skończyła się niedola i nieszczęście dla miasta Bytomia. Na wstawienie się i prośbę Opata Premonstratensów, powszechnie na Śląsku Wincentynami zwanych, zdjął Ojciec święty klątwę z Bytomia, ale za karę odjął magistratowi prawo kolatury, t. j. nadawania probostwa i oddał je zakonowi Premonstratensów, a nadto utracili Bytomianie jeszcze kilka innych przywilejów, które z dawnych czasów posiadali.

Bytom nie powrócił do dawnej świetności i wspaniałości tak rychło.

Na utrwalenie pamięci niewinnie zamordowanych Kapłanów wykuto nad drzwiami farnego (dawnego) kościoła dwa kielichy z kamienia, aby przypominały potomkom grzechy ojców i pobudzały ich do pokuty, utrzymując na drodze cnoty.

KONIEC.



Opatrzność Boska czy przypadek.

Często możemy zaobserwować taki zbieg okoliczności, że trudno nam osądzić, czy to był czysty przypadek, czy też działanie Boskiej Opatrzności. Kilka takich przykładów opowiedziała p. Jr. w „Dzienniku Berlińskim“, które poniżej przytaczamy.

I.

W pewnej miejscowości w północnej części Jütlandji wybuchła epidemja szkarlatyny i dyfterji. Epidemja szerzyła się z zatrważającą szybkością. Doktorzy i apteki pracowały do późna w nocy.

Pracą obarczona była również apteka, w której widzimy młodego aptekarza, tem większą pracą, bo młody był sam, gdyż właściciel apteki wyjechał na dłuższy czas. Była godzina dziesiąta, gdy nareszcie mógł zamknąć aptekę i udać się na upragniony spoczynek.

Ale, gdzie tam, zaledwie się położył, a już rozległ się dzwonek. Szybko więc pobiegł na dół i sporządził lekarstwo i za kwadrans mógł znowu położyć się do łóżka.

Ale nie długo miłego spoczynku, dzwonek za chwilkę znowu go powołuje do obowiązku. I tak podczas nocy siedem razy się kładł i siedem razy wstawał, by ulżyć cierpieniom bliźnich i ani jednego słowa zniechęcenia.

Ostatnim gościem był malutki chłopczyna, który podał receptę na 10 gramów opium. Oszołomiony spaniem bierze młody człowiek znaną mu flaszkę, waży 10 gramów, napełnia do flaszeczki i podaje chłopcu, który spiesznie odchodzi. Aptekarz bierze flaszkę do ręki, z zamiarem postawienia jej na dawnem miejscu, gdy w tej chwili pada jego wzrok na nalepkę. Boże, wszechmogący! cóż to, w ręce nie

trzyma flaszki z opium, ale jod straszną truciznę. Pan jego musiał widocznie flaszki przestawić nie zawiadamiając o tem swego pomocnika.

I teraz on, zamiast ratować człowieka chorego, otruł go. Jak bez życia pada młody na krzesło, czyta po raz wtóry receptę, wybiega za chłopcem, woła, ale nikt się nie odzywa. A dobre dziecko szybko biegło, żeby jaknajprędzej przynieść ratunek swoim ukochanym.

Zrozpaczony wraca młodzieniec do apteki, sen dawno uleciał z jego powiek, nie może spać, nie może siedzieć, spokoju nie ma ani chwileczki. Całe życie będzie miał wyrzuty sumienia. Boże pomóż, Tyś dobry, Tyś litościwy!

W tem ciszę nocną przerywa odgłos dzwonka, a mały chłopczyk płacząc mówi: „O, mój panie kochany, rozbiłem sobie flaszeczkę i lekarstwo się wylało, biegłem tak szybko i upadłem, a teraz nie mam pieniędzy na inne, co ja zrobię, moja biedna siostrzyczka umrze“.

„Nie umrze dziecko, nie“ — woła rozradowany młodzieniec i ściska i całuje drżącego chłopczyka, który ledwo oczom wierzy; nietylko, że się na niego pan nie gniewa, ale daje mu lekarstwo i jeszcze pieniądze do ręki, żeby sobie kupił jakąś zabawkę, to chyba cud.

Cud dla dziecka, ale większy cud dla młodego człowieka, który pada na kolana i dziękuje Bogu. I czyż można to nazwać przypadkiem?

II.

W roku 1865 dnia 4 września zdarzył się w Wenecji następujący ciekawy wypadek:

Mały ulicznik wszedł na dach trzypiętrowej kamienicy, żeby podebrać młode gołębiom, których w Wenecji jest bardzo dużo. Podczas tej niegodziwej pracy stanął w jednej chwili tak nieszczęśliwie, że spadł. Został jednak na drugim piętrze na wystającym haku wisieć, rozdarł ubranie i spadł na lampę gazową, gdzie znowu został wisieć. Lampa była dość wysoko ponad ziemią i byłby się niechybnie jeśli nie zabił, to przynajmniej ciężko pokaleczył, ale przypadek chciał, że przechodził tamtędy w tej właśnie chwili człowiek niosący siennik. Widząc chłopca spadającego, postawił siennik w ostatnim momencie. Chłopak spadł na słomę, nic mu się nie stało, śmiejąc się uciekł do domu.

A gdyby był spadł prosto z dachu na bruk? Ale Opatrzność Boska czuwa nad maluczkimi.

III.

Pewien Misjonarz opowiadał często zdarzenie ze swego życia w jaki to cudowny sposób nawrócił się protestant na wiarę katolicką. Oto podajemy opowiadanie Misjonarza.

Zdarzyło się w wiosce N. Przyjechałem razem z kilkoma braćmi na misje do tej miejscowości. Ludność w owej wsi była wierząca, to też kościół był zawsze przepełniony, a dostęp do konfesjonałów coraz trudniejszy. Proponowałem więc księdzu proboszczowi ustawienie drewnianej kraty, co mogło w biedzie zastąpić konfesjonał. Proboszcz chętnie się zgodził i kazał zawołać stolarza, który też kratę ową sporządził.

Udałem się też ze stolarzem do kościoła, by kratę na odpowiedniem miejscu umieścić. Gdy już wszystko było gotowe, rzekłem do niego: „Teraz zobaczymy, czy też wszystko dobrze i wygodnie jest“. Przyniosłem sobie krzesło i siadłem, tak, jakbym miał słuchać spowiedzi. Potem poprosiłem stolarza, żeby ukląkł po drugiej stronie tak, jakby się miał spowiadać. Stolarz jednak zmieszał się bardzo i pytająco na mnie spojrzał nie wiedząc, co właściwie od niego żądam. „No, kochany przyjacielu, przecież nie macie się na prawdę spowiadać, chcemy się tylko przekonać, czy wszystko dobrze urządziliśmy“.

Po długiej dopiero chwili dał się stolarz namówić i uczynił to, co od niego żądałem. Potem udałem się na probostwo, a w drodze rozmyślałem nad tem, dlaczego stolarz był taki zdziwiony i niechętny mej prośbie: Nie wiedziałem, że Bóg wybrał tę chwilę, by oświecić duszę błąkającą się i przywrócić ją z manowców na łono nieba.

Podczas kolacji opowiedziałem proboszczowi co zaszło w kościele. „Wierzę, wierzę — powiedział proboszcz, uśmiechając się, ten się musiał dopiero zdziwić, przecież ten człowiek jest ewangelikiem“.

Teraz zrozumiałem wszystko i po niejakim czasie zapomniałem o tej sprawie, w gruncie mało znaczącej. Po miesiącu przychodzi do naszego klasztoru znany mi stolarz i chce ze mną mówić. Schodzę więc do rozmównicy i oto co słyszę.

„Wielebny księże — powiada mój znajomy — wtedy tośmy tylko próbowali spowiedzi, ale dziś przychodzę sprawę obrobić, na serjo, chcę zostać katolikiem“.

I w krótkich słowach opowiedział mi, jak od owej chwili nie zaznał spokoju ani jednego dnia, czuł jakiś głos wewnętrzny, który mu nakazywał przyjąć prawdziwą wiarę. Aż wreszcie nie mógł dłużej wytrzymać i przyszedł do mnie, wszystko opowiedział i prosił o przygotowanie go do świętego aktu.

Łaska Boża zwyciężyła i zagarnęła jedną więcej duszę dla Swej chwały. Ja sam przygotowałem go do przyjęcia wiary i byłem świadkiem wcielenia jego do łona Kościoła. Jakie cudowne są drogi Boskiej Opatrzności!



Zbliża się jesień.

Zbliża się jesień ponura,
Żółknieją sady i drzewa,
Po nocach wyje wichura,
W dzień żaden ptaszek nie śpiewa.

Kraj cały w koło szarzeje,
Cichnie, usypia powoli,
Rolnik ostatek już sieje,
Ostatni zbiera plon z roli.

Za czarną chmurą ukryte
Słońce nie grzeje, nie świeci,
Ptactwo przez jesień wyzbyte,
Z boleścią w siną dal leci.

I żal się rodzi u człeka
Tęsknota w duszy się budzi,
Że czas tak prędko ucieka,
A nikt nie wstrzyma go z ludzi.

A gdy wichura szaleje
Bór jęczy, jak człowiek, wzdycha,
Liść roni — niby łzy leje...,
A świat usypia... ucicha...

Władysław Bulek.

Z POLOWANIA NA ŻYRAFY.



Nasze poczciwe i kochane zwierzątka, jak koń, krowa, owca, koza i t. p. należą do zwierząt żywiących się trawą. Nieraz całymi dniami po miedzach i ugorach szczypią drobną trawkę, niejednokrotnie stopą ludzką przydeptaną, aby tylko głód zaspokoić i mieć czy to siłę do pracy, czy zapas mleka, jakiego tak wiele człowiek potrzebuje. W Afryce spotykamy zwierzę, należące wprawdzie do tej samej rodziny, ale od powyższych zwierząt znacznie różniące się swym wyglądem. Jest to żyrafa. Ciało jej spoczywa na czterech dość wysokich nogach, a zbyt długa szyja czyni to zwierzę jeszcze większem. Wprawdzie żyrafa zrywa trawę z ziemi dość chętnie, ale jest jej to bardzo niewygodnie, gdyż zbyt długie nogi przeszkadzają jej w dostaniu pyskiem do ziemi. Oczywiście gdy to jest konieczne potrzebne, żyrafa rozkracza nogi i w ten sposób pomaga sobie w dostaniu pyskiem do ziemi. Ale gdy zobaczy w pobliżu zielone drzewo, nie troszczy się już o trawę, ale obsmykuje smaczne listeczki z drzewa. Jak z naszej krówki, tak i z żyrafy mięso jest bardzo smaczne, a skóra służy na różne wyroby, to też mieszkańcy tamtejsi chętnie polują na nią i wiele ich zabijają. Na naszym obrazku widzimy czarnych myśliwych, którzy po upolowaniu 6 metrowego zwierza wypapraszają go i łupią zeń skórę w specjalny, do tego właściwy sposób. Z porównania rozciągniętego zwierzęcia z ludźmi możemy się przekonać o jego wielkości

Procesja duchów.

W r. 1832 w kościele niegdyś Bernardynów w Paryżu odkryto wiele grobów a w każdym z nich znajdował się szkielet dość dobrze zachowany.

Student medycyny, przy obejrzeniu odkopywań, wziął za pozwoleniem robotników znaczną liczbę kości i rozwiesił je na ścianie swojego mieszkania.

We dwa dni potem, wróciwszy do siebie w nocy, wzruszył się na widok czaszek iluminowanych blaskiem księżyca, ale odpychając płochy przesąd, zapalił cygaro, wypił kieliszek rumu i położył się spać.

Zaledwie usnął, obudził go mocny ból ręki i głuchy szmer, jakieś słowa i jęki. Rzuciwszy przestraszonem okiem do koła, ujrzał przy blasku księżyca procesję milczących duchów, ubranych biało. Nieruchome ich twarze miały blask srebra. — Oczy utkwione we mnie — mówił on — rzucały ponure błyski; niekiedy patrzały na mnie marszcząc brwi i szeptaniem zdawały się objawiać jakieś złowrogie względem mnie zamiary. Mniemałem, że mnie opanowała zmora; wszakże nie spałem, bo słyszałem jadący powóz przez ulicę i zegar bijący na kościele św. Seweryna.

Rozróżniałem najdrobniejsze szczegóły widzenia; chciałem wyskoczyć z łóżka, ale czułem, że mnie ściskają za rękę.

Podniósłszy głowę, ujrzałem przy sobie człowieka wysokiego, czarno ubranego; blady, kościsty, iskrzącemi oczyma zmusił do zamknięcia moich; rękę miałem ściśniętą, jak kleszczami a gdym nie mógł opuścić łóżka, pomięszały się moje myśli, czułem wściekłość, rozpacz, przestrach. Człowiek puścił mą rękę, rzekłszy do mnie te słowa, z których tylko pamiętam: Ciekawość — nierozwaga — młodość.

Wyskoczyłem z łóżka, otworzyłem okno, czułem gwałtowną potrzebę wyjścia na dziedziniec... ale chłód nocy przypomniał mi rzeczywistość i długo stojąc przypatrywałem się niebu gwiaździstemu, oświeconemu srebrnemi promieniami księżyca. Odwróciwszy głowę, żeby spojrzeć na łóżko, znowu ujrzałem czarnego człowieka i procesję białych duchów. Przynajmniej kwadrans przypatrywałem się tej osobliwej scenie.

Nadeszła jutrzenka — wielki ruch powstał między postaciami; usłyszałem, jak otwierały się i zamykały drzwi, wróciłem do łóżka, oczy mi się zamknęły i głęboko zasnąłem. O godzinie ósmej, gdy się przebudziłem, doświadczyłem mocnego bólu w ręce i wielkiej niespokojności, jakby po uniknieniu ciężkiego niebezpieczeństwa.



Maciek Bzdura gada:

Ześliśmy się w tamtą niedzielę u Grzeli Podlaska i tak kużden gadu, gadu, ten o tem, ten o owem, jaż zesło na nasego jegomości. Chcieli różni różnie o nich mówić, ale ja padam, że se jegomością gęby wycirać nie pozwolę, tak i ustali. Wtedy Wicek Plujplisiak pocął rozmaite świństwa opowiadać, to o karakonach, to o pluskwach, to o inksych rzecach, jaż Kunda Podlaskowa spciocyła go, żeby powietrza niedzielnego nie zaniecyscał, tak tedy Wicek pada:

— Cie ich! Kiedyście taka pobożnisia, to nom opowiedzcie co kościelnego, a ja nie będę se la byle kogo psuł jadacki.

— Pewnie, że jakbym chciała, tobym opedziała — Kundzina na to. — Ino nie wiada, cy słuchać będziecie.

— Będziewa, będziewa! — odpowiedzieli prawie wszyscy, a Kundzina tak prawić zaczęła:

— Byle gadkę to i lada jaki Maciek potrafi wybajać, ale o rzecach kościelnych to próc jegomości mało komu się to uda. Mnie ta takie rzecy nie nowina, bom służyła osiemnaście lat na plebanji, tom się ta bez ten cas o niejednego księdza otarła. Oj opowiadali se jegomoście nieraz cudaśne rzecy, opowiadali! Bez tyle lat niejedno ze łba wywietrzało, ale co niektóre po dziś dzień tam siedzi i to wam opowiem. Raz na przykład jegomość z Zatracony Wsi opowiadali, że w Kociwólce, gdzie to, jak wiadomo same bagace siedzą, jak przysła składka w kościele, to jegomość z próżną tacką do zakrystyje wracali. Rozeźliło ich to okrutecnie i postanowili spsiocyć dokumentnie swoje owiecki przy najbliższej sposobności. I tak kiedy na drugą niedzielę mieli kazanie, wyleźli se na kazanicę i tak padają:

— Gdy tak patrzę na was z góry, kochani bracia, i widzę tyle aksamitów i drogich ubrań, to jaż się mi serce raduje i pytam się, gdzież się w nasej wsi podzieli biedni? Ale gdy po kazaniu spojrzę na tackę i policzę same miedziaki, to mi się serce kraje i wtencas pytać się musę: Gdzież się podzieli bogaci?

Odtąd jegomość co niedzieli wracał z pełną tacką do zakrystyji.

— A to przyścipni byli ten jegomość — pada Magda od Warzechy.

— Co prawda, to nie grzych — Kunda na to. Ale znałam jesce przyścipniejsego. A było to tak: Ksiądz wikary z Zagacia posed do swojego probosca do spowiedzi. A nie żyli oni ze sobą w zgodzie. Ksiądz wikary wyznaje grzechy na świętej spowiedzi i tak pada:

— Księże proboscu! W stosunkach z insemi ludźmi, a miał tu na myśli samego probosca, byłem niecierpliwy.

— E to niewielki twój grzych — probosc na to. Za mały grzych mała pokuta. Odmówis sobie ino siedm psalmów pokutnych a po każdem psalmie ino raz Litanję do Wszyćkich świętych.

Za niedługo posed probosc do wikarego do spowiedzi i pomiędzy insemi grzychami tak pada:

— W stosunkach z insemi ludźmi — a miał na myśli księdza wikarego — byłem niecierpliwy.

— E to nie wielki twój grzych — wikary mu na to. Za mały grzych mała pokuta. Odmówis sobie ino jedną litanję do Wszyćkich świętych, a po każdem wezwaniu świętego dodas siedem psalmów pokutnych.

Ksiądz probosc nic na to nie odpowiedzieli, bo wiadomo, że nakazom spowiednika sprzeciwiać się nie wolno, ale jesce tego samego dnia pojechali do biskupa i za parę dni księdza wikarego już w Zagaciu nie było.

— A znowu raz — opowiadała Magda dalej — było tak: Kuba Wrzasło ciężko zachorował. Baba posłała po księdza i Kuba miał się spowiadać. A jegomość się go pytają:

— Słuchaj Kuba! Cy przebacyłeś wszyćkiem swojem nieprzyjaciołom?

— A ino — powiada Kuba — tylko Maćkowi Zawieruse, który mi się worał w moje zagony, nijak przebacyć nie mogę.

— Słuchajże Kuba — jegomość na to — jeżeli mu nie przebacys, to nie wejdzies do Królestwa Niebieskiego. Poniezus ludzi mściwych nie chce mieć przy swojem boku.

Kuba zmyślił się chwilę, a potem tak się odezwał:

— Kiedy już tak powiadacie Ojce święty, to ja i jemu już przebace. Ale jak Poniezus ozdrowieć pozwoli, to ty psikrwi Maćkowi wszyćkie kości połamię.



W jesieni!

Gdzieś tam w polu kraczą wrony...
Wyszła Magda na zagony
I motyką w ziemi grzebie
I dla dzieci i dla siebie.

Co poruszy ziemię czarną,
Ziemniaczki się z niej wygarną
Takie piękne, takie hoże,
Takie miłe, mój Ty Boże!

Będzie miała, jak Bóg tak da,
Całą zimę jadła Magda;
Nie tak, jak ten leniuch Maciej,
Co czas drogi darmo traci.

Siadł niecnota na dyszlisku,
Trzyma fajkę jeno w „pysku"
I na Magdę zerka okiem,
Z której ciecze pot potokiem.

Antoni Socha.

WŁADYSŁAW WOSNAK.

UCIECZKA ARCHANIOŁA

Powieść współczesna.

IX.

Zaczęło się sklejać wesele. Zośka chodziła koło domu mało przytomna, nie mogąc wywnętrzyć się z uczuć, wypełniających jej istotę po brzegi. Gdyby tak można śpiewać i śmiać się od świtu do zmroku! Ale nie... ton wsi na to nie pozwala; nazwanoby ją dzieckiem, albo warjatką. Musi więc być poważną, milczącą; musi fałszem zakrywać najpiękniejszą prawdę człowieka — miłość. Równocześnie zaczyna się jej wszystko podobać i dziwi się niezmiernie, jak mogą ludzie tak narzekać na życie, kiedy ono jest przecież tak pociągająco piękne. Dziwiła się, nie znając



Wreszcie stanęli przed ogródkiem...

jeszcze wielu, bardzo licznych rzeczy, które zasłaniają oczy człowieka i zakrywają właściwie piękno a pokazują giehennę życia. Szczęśliwy ten, kto potrafi wciąż patrzeć na życie i świat cały przez pryzmat młodości swej i kwiatu, który z niej wyrasta — miłości.

Termin wesela się zbliżał. Dziwne, że tym, komu najbardziej może na pośpiechu zależało, był sam Tomek. Zdawało mu się, jakby go ktoś napędzał i do pośpiechu przynaglał. Dziwił się sam sobie, iż mu tak pilno, ale nie mógł powstrzymać tego ogromnego nakazu, który szedł z głębin ziemi i życia, z głębin jakiejś przeogromnej mocy. Coś mu szeptało, że... trzeba się spieszyć, że... ale tego, tej reszty, nie rozumiał. Coś szeptało, a ten lekki wybuch krwi, jaki dostał parę dni temu, naglił jeszcze więcej do pośpiechu.

Aż nadszedł dzień wigilji ślubu. Zośka od rana mało przytomna, lecz uwija się, aby wszystko posporządzać na wieczór: może przyjdzie jaka „przygrywka", może Antek sam jaką muzykę przyprowadzi... W każdym razie musi być porządek. Wesele będzie, co prawda, u Antka, ale w domu zawsze jest roboty dosyć, tembardziej, że matka nagle się „rozchorowała" i poszła do córki. Zośka biega, wydaje siostrom rozkazy, myje, prasuje, przymierza wstążki, suknie, korale... Ach! ileż ona ma śliczności! Brat, który kończył „szkoły" i przytem lekcjami dosyć wiele zarabiał, przysłał jej suknię jedwabną z długim welonem. Dopieroż będzie dziwu! Takich strojów chyba jeszcze nikt do ślubu nie miał w całej parafji. Bo czy to kto ma brata, który wnet wielkim panem będzie?

Przed wieczorem przyjechał on sam, aby być na weselu siostry. Zaraz po przywitaniu uwiesiła mu się na szyi, szepcząc:

— ... co ja ci za to?... coja ci...

— E, co tam... drobnostka. Tu masz prezent ślubny.

Rozpakowała mały pakiecik, otworzyła ostrożnie jedwabiem obite pudełeczko, i zamarła w oślepieniu: przed nią błyszczł mały, złoty zegarek z długim łańcuszkiem — dawne niedościgłe marzenie.

Zośka oniemiała z radości.

— Ale pamiętaj: pierwszy taniec po ślubie z Antkiem, drugi ze mną.

— Oba z tobą, Zygmuś, oba!

Nie mogąc mówić, zaczęła płakać. Po chwili wykształsiła do siebie:

— Żeby tak mama żyli... Komuż ja to wszystko najpierw pokażę?

Grube łzy zaczęły cieknąć po jej twarzy, przed chwilą jeszcze okraszonej uśmiechem niewysłowionego szczęścia.

Zmierzch zapadał.

Dom Tomka aż się trząsł od bieganiny i strzelania drzwiami. Zośka stała przy oknie, w tylnej izbie, obcinając — z taką troskliwością hodowane — mirty. Ręka się jej czegoś trzęsła, a srce jakby bić przestało. Co ucięła nożycami gałązkę, to jakby ogałacał się jej świat, jej dawny świat: świat marzeń o szczęściu, o nim, wylśnionym rycerzu. Kilkakrotnie ściągnęła rękę, gdy zawadziła o szczególnie świeżą i zieloną gałązkę. — Szkoda tej — powtarzała w duchu, — niech jeszcze porośnie. — Wnet się jednak oburzyła na siebie, mówiąc w duchu: Nacóż cię podlewałam, jeśli nie na to, żebyś mi kiedyś był ładnym wiankiem na głowie...Pocóż cię mam jeszcze żałować, kiedy więcej nie będziesz mi potrzebny; pierwszy i ostatni raz.

Znów się zadumała. Ogołocony mirt raził ją swą nagością i ostrością szkieletów.

— Cóż on winien, że moje jutro wesele? Za com go tak zraniła? Co teraz z tą łodygą... chyba wyrzucić. A może się jeszcze opuści — zapomniałam o tem.

Drzwi skrzypnęły. Wszedł Franek, właściwie stryj, lecz w poufałości wszyscy go tak nazywali, być może, dla jego dobrodusznej fizjognomji, nie zważając na kark pochyły, obsuty siwemi włosami.

— Wianek wijesz... — zagadnął zcicha. — Jakto czas mija! Niedawno to nosiłem na rękach, a dziś już wianek ślubny wije. Jakto mija...

— Oj, mija to, mija — jak wszystko. A jak z tobą? cóż Tereska?

— Tereska jaka była, taka jest; zawsze był djabeł, że trudno wytrzymać.

— Czemuż tam siedzisz, kiedy u ludzi miałbyś lepiej?

— Hm... u ludzi, ale tu bliżej chałpy, bliżej... Tak się widzi...

Nie umiał tego określić, co chciał wyrazić słowami, lecz Zośka rozumiała go doskonale: bliżej domu, bliżej dzieci, które on wykołysał, bliżej tych ścian, z któremi się zżył od dziecka, bliżej wszystkiego, na co patrzył od maleńkości. Rozumiała go Zośka i czuła razem z nim.

— Do kościoła pójdziesz jutro? — zapytała z pewnym uśmiechem, jakby kryła coś w sobie.

— Gdziemita do kościoła... Na takie parady ani ubrania nie mam, a po drugie: Tereska z Tomkiem

wciąż się o coś gryzą, to nie pozwoli.Mówiłem jej nawet o tem, bo myślałem, że stanę gdzieś w kącie.

— I cóż?

— Zwymyślała tylko.

— Głupia! Musisz być! O resztę się nie kłopoc. Od jutra ja tu gospodynią.

— Ale...

— Jutro będziesz w kościele, blisko mnie, nie w kącie, a stamtąd wracasz do tego domu, gdzie ci się należy być aż do śmierci. Mówiłam tatowi... Zresztą nie tyle oni winni, co matka, a ona musi teraz cicho siedzieć. Życie w naszym domu szło dotąd po nierównej drodze. Moim obowiązkiem jest tę drogę, co się da, wyrównać i wygładzić. Zamiast kolczastych głogów, chcę hodować w własnym ogródku kwiatki pachnące.

— Zosiu, Zosiu... taka sama jesteś jak matka. Dobrze zaczynasz, to i dobrze ci będzie na świecie.

Ucałował ją w czoło i zrobił nad nią znak krzyża świętego.

Ona chwyciła jego twardą, spracowaną dla cudzego dobra, rękę i wycisnęła na niej gorący pocałunek. Tej samej chwili przypomniała sobie, jak ją pieścił za maleńkości, jak ochraniał przed rózgami ojca, gdy figla komuś spłatała, jak pasał za nią bydło w najgorsze czasy jesienne lub w słoneczne popołudnia niedziel letnich, gdy już dorastała i radaby się wtedy rozweselić, pośmiać, wygadać z innemi dziewczętami... Wszystko jej stanęło przed oczami w żywem świetle wspomnienia. Więc poczuła się bardzo szczęśliwą, że mogła wreszcie spłacić dług wdzięczności, a raczej obowiązku.

— Robię to, co muszę, a tyś robił dla mnie i nas wszystkich to, czegoś wcale nie musiał.

— Gdzietam...

— Pobłogosławże mię jeszcze za mamę i dziadka...

Ledwie spuścił błogosławiącą rękę, uderzył wiatr o szyby, zmieszany z cichem echem odległej jeszcze muzyki.

— Już idą — rzekła Zośka nerwowym głosem. — Już idą... O jutrze pamiętaj! Ubranie ci przywiózł Zygmunt, bo dziś przyjechał.

— Ubranie?... Przyjechał? Zosiu! ja już nie wiem, kto będzie miał jutro wesele; ty, czy ja? Nie wiem, nie wiem.

— Już idą...

— Aa... co ci to chciałem jeszcze powiedzieć... Całkiem mi z głowy wyszło.

— Przybocze se.

— Na języku mi siedzi, że ino se wspomnieć...

Może jakie plotki ze wsi?... W takim razie lepiej sobie nie przybacuj. Nie chcę znać tych mącicieli, coby wciąż pchali ogarki w cudze rzeczy. Lepiej niech o nich nie słyszę.

— Nie o to... nie o to... A! kiedyż każesz iść po te obrazy, co ci dziadek przede śmiercią oddali? Przyniósłbym ci je, gdybyś chciała. Co się mają poniewierać po świecie — dziecka Hancyne mogłyby wyrozbijać — kiej tu im się patrzy być.

— Jakbyś miał co czasu...

— Mogę jeszcze dziś oblecieć; przed nocą obejdę. Niech se gada Tereska, co chce, pilniejsze obrazy. Święty Michał Archanioł to jeszcze po moim dziadku — a światłość mu wiekuista... — który, gdy się stawiał, ten obraz pierwszy w nowych budynkach powiesił. Niejedneć wesele, niejedne chrzciny widział ten święty Archanioł... i niejednego pogrzebu był świadkiem. Za wolą boską na twojem weselu On także będzie. Moja w tem rzecz, aby był. Zaś potem będziecie se razem gospodarzyć, jak Bóg przykazuje i ludzkie sumienie.

— A ty z nami — wtrąciła Zośka, rumieniąc się zlekka.

— E... ze mnie już ta wielkiej korzyści nie będzie. Czas nadchodzi. Nie będę wam długo utępą, nie. Tylko się obeźryć, jak zawołają. Człek ani zipnie — i po wszystkiem. Zresztą — byłoby z tem pół biedy, gdyby tylko skąd wziąć tej pewności, że na sądzie boskim będzie się można jako tako wyrachować... Bo pokiela człek jest tu, zawszej się ma trochę pewności, że w razie przypadku znajdzie się ktoś, co wesprze i od najgorszego uchroni. Ale tam — toś człecze sam, jak amen w pacierzu. Sam i twoje przewiny.

— I Michał Archanioł z wagą.

— To, to... Dobrze, żeś zbaczyła... Już lecę.

Z oddali napływały coraz czystsze dźwięki wiejskiej kapeli.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Schodzili z górki.

Mimo zmroku, widziała ich dobrze. Przylepiona do okna, drżała w rozdygotaniu.

Wreszcie stanęli przed ogródkiem. Zasłaniają ich wyniosłe kiście malw i słoneczników, nużających się teraz w spęczniałych kroplach rosy.

Tylko muzyki nic zasłonić nie może. Gra, wciąż gra.

W przesłodkich dźwiękach rozpływa się dusza Zośki i wszelkie poczucie rzeczywistości. Ginie nielitościwa codzienność, by na łaknące serca rzucić tchnienie ponadziemskiego szczęścia.

Mocne kroki w sieni.

Nie słyszy Zośka. Muzyka ją rozprzestrzenia i unosi poza obręb fizycznych odczuwań.

Drzwi się otwarły.

Tajemna siła odrzuciła ją od ramy okna. Chociaż nie widziała nic w zmroku, jaki spowijał izbę, lecz czuła nienazwanym zmysłem powiew nowego, zakrytego życia.

I chociaż milczała, cała jej otchłań jaźni wołała głosem ciszy: — Witaj!

Do miejsca, skąd wyszedł ten głos, zaczęło się zbliżać Życie, rozdmuchując mroki pochodnią miłości.

Z otwartemi ramionami podeszła bliżej.

Pierwszy pocałunek: pocałunek zaślubin.

A na okiennej kracie rozpyla się dźwięk skocznej muzyki, prosząc, by ją wpuszczono do izby.

KONIEC.

Póki żyć będziem!



Nim nas śmierć weźmie w swe zimne objęcia,
Nim życie zgaśnie na tej łez dolinie,
Nie dajmy zmysłom naszym tu wytchnięcia,
Pokażmy siłę i w słowie i w czynie!

Siejmy oświatę wśród ciemniejszej braci,
Wskazujmy drogi jasne lepszej doli,
Chociaż świat zwykle niewdzięcznością płaci,
Lecz lud się biedny z ciemnoty wyzwoli.

Mężnymi bądźmy, złem się nie zrażajmy,
Naprzód wciąż idąc choć w żółwia mozole,
W dobrych zamiarach do końca wytrwajmy,
Choćby pot krwawy osiadł nam na czole.

A gdy poznają ci nasi rodacy,
Co to jest miłość, dla drugich istnienie
Chętnie swe siły zaprzęgną do pracy,
Po nas zaś miłe zostanie wspomnienie.

Szczepan Orzech.

„TOPIELEC".

Wyrzuciła go woda na brzeg, jak rupieć niepotrzebny. W niedomkniętych oczach szklanych, zachwyt czy lęk się malował. Włosy w nieładzie rozrzucone pełne żwiru i piasku, ręce bezwładnie opuszczone koło ciała sinego, jak gdyby wszystka krew zeń uciekła. Nogami dotykał wody, która swemi falami muskała je, jakgdyby sprawdzić chciała, czy żyje, a poczuwszy, że zimne, czemprędzej odpływały, bełkocąc po kamieniach.

Grupka ludzi debatowała nad leżącym topielcem, od którego sinej nagości dziwnie smętnie odbijały promienie słoneczne.

— Dawno się musiał utopić, bo już zupełnie siny, pewnie z kilkanaście dni leżał w wodzie — mówiła jakaś starsza kobieta, przyglądając się trupowi.

— Dawno czy nie dawno — odrzekł stary rybak, dotykając ciała leżącego. — Dość na tem, że nasza Wisełka nabawiła się młodzieńcem, wyssała z niego wszystką krew, a teraz jak zbyteczny grat wyrzuciła.

— E co pleciecie — odezwało się kilka głosów naraz.

— Nie pletę ja żadnych morałów — zaprotestował stary rybak — jeno mówię, na co od dziecinnych lat patrzę. Wiecie przecie, że nad rzeką się urodziłem, całe życie nad nią przepędził, a dzięki Bogu siódmy krzyżyk mi mija, więc i dokładnie znam naszą Wisłę, nawet każdy szmer i poruszenie.

— Co gadacie kumie — odezwała się młoda kobieta z boku stojąca. — Przecie czy to Wisła, czy inna rzeka, to jeno woda i nic więcej.

— Prawdę mówi — odezwało się kilka głosów. — Woda jak inne i nic więcej, — dodał młody flisak.

Stary rybak, zmierzył towarzystwo ponurym wzrokiem, a spojrzawszy na sine fale Wisły, — tak mówić począł:

— A ja wam mówię, że wszyscy nic nie wiecie. Wisła nasza jest taką samą królową rzek słowiańskich, jak lew królem pustyni. Jak wśród ludzi i zwierząt tak samo i wśród rzek jest jedną królową.

— A dlaczegożby Wisła nią miała być, a nie inna rzeka — zapytał niedowierzająco młody flisak — usadawiając się nad brzegiem.

Wszyscy za jego przykładem niedaleko topielca siedli, tylko dziewczęta młode, nazbierały nadbrzeżnego kwiecia i liści i obrzuciły ciało topielca, kryjąc tym sposobem jego nagość.

Stary zaś rybak, usiadłszy na kamieniu, nałożył małą fajeczkę tytoniem, który wydobył z pożółkłego woreczka, zawieszonego u pasa, a zapaliwszy, począł puszczać kłębiaste dymy, spluwając poza siebie.

Chwilę zapanowała głęboka cisza, przerywana cmokaniem fajki i chlupkaniem rzeki o przybrzeżne kamienie. Jedni zapatrzeni w topielca, inni w wodę, czekali aż stary rybak się odezwie, ale ten wcale się nie spieszył, jakgdyby chciał przygotować słuchaczy do swego opowiadania.

Po długiej chwili, począł dopiero mówić dalej:

— Powiadał mi tu ktoś, że może być i inna rzeka królową polskich rzek, otóż nie może być, choćby dlatego, że w niej polska księżniczka Wanda się utopiła, że ona polskich królów siedliską myje, ocierając się o skałę Wawelu i przez całą Polskę przepływa. Powiadam wam, że ona jest królową rzek słowiańskich i na wiosnę, gdy roztoczy swe wody, to z królewską powagą z szumem jakby słowiańską płynie. Ona to dla swej krasy, potrzebuje ojców wśród ludzi lub siebie i kogo jej nurty nad brzegiem zobaczą, a wody się w nim zakochają, to dotąd go kusi i łechce i dotąd za nim posyła swe duchy topielice, aż ofiara bezwiednie przychodzi nad rzekę i pragnie kąpieli. A kiedy fale poczują stopy swojego kochanka, to tak go łechcą i milą, aż do zimnych piersi topieli przytulą i nie pomoże ratunek, bo w ciele on czuje ciepło, w źrenicach pragnienie czegoś nieuchwytnego i łaskotany fal pieszczotami na dno rzeki idzie. A tam każda fala musnąć go pragnie i całują jego i do ust się cisną, a pieszczotami obszypują, aż poczują zimne jego zwłoki. Wtedy na brzeg topielca same wyrzucają. O wtedy czujesz jak woda rozkołysana w wesołych pląsach płynie i pluskocze, jakgdyby śpiewała wesoło. A kiedy zadumana czeka na swoją ofiarę, to ani się w niej przejrzysz ani szmeru nie usłyszysz — jakby w głaz zaklęta. Topielca próżno szukać, dokąd sama po zabawie i śmiechu, nie wyrzuci go na brzeg.

Powodził chwilę po obecnych wzrokiem, a wreszcie dodał:

— Patrzcie na tego, gdzie fala dotkła, aby go całować, tam sine miejsce pozostało, a całowań tych musiało być bez liku, bo nie masz miejsca wolnego na ciele. Tak bawi się co roku Wisła nasza ze swemi ofiarami. I powiadam wam, że dokąd ludzie żyją, będą musieli jej ofiary składać — bo taka jej wola!

Rozchodzić się poczęli powoli, żegnając nabożnie i szepcąc modlitwy, aż wreszcie pozostał sam jeden stary rybak, zapatrzony w uciszoną żarem słońca toń Wisły — wyszeptał:

— Gdzie znowu znajdziesz kochanka, aby się nim pobawić?

A słońce, osuszywszy mokre zwłoki topielca, uczyniło go poważnym — majestatem śmierci.

Stanisław Górkiewicz.

M. JOKAY.

Sąd Salomonowy.

Grodzisko był sobie poczciwym mużykiem z nad Newy — nie oznacza to bynajmniej muzykanta, lecz poprostu chłopa.

Gdy pewnego razu zdążał do roboty, to jest posuwał się powoli, a od czasu do czasu przystawał nawet dla wypoczynku, poprawiając sobie cybuch u fajki, spadł mu ni stąd ni zowąd na kark młody porucznik od ułanów w pełnym mundurze i powalił go na ziemię, tak że mundsztuk fajki utknął mu w gardle.

Zdarzyło się to na środku rynku w Kameniku przed jednopiętrową kamienicą bogatego kupca ormiańskiego, Mikołaja Krysztofora.

Grodzisko nie odniósł wprawdzie poważniejszych obrażeń, niemniej wziął sobie rzecz tę wielce do serca i zaskarżył porucznika, którym był hrabia Aleksiewicz Balabin Platon.

Prześwietny sąd w Kameniku zawezwał tedy pana hrabiego pytając, jakiem prawem dopuścił się podobnego wybryku, gdy ani w ukazie carowej Katarzyny, normującym przywileje szlachty, a który się składa z 133 paragrafów, ani w ukazie uzupełniającym Aleksanrda I-go nie zaznaczono, aby wolno było komukolwiek z czternastu klas szlachty ruskiej spadać gdzieś z obłoków na łeb biednemu mużykowi.

Zawezwany hrabia Balabin tłumaczył się wszelako, że nie uczynił tego samowolnie, lecz zmuszony został do tej ekskursji na powietrznej przez gospodarza domu, pana Krysztofora, który wyrzucił go oknem z pierwszego piętra swojej kamienicy.

Sprawa zaczynała być zawiłą. Wezwano pana Krysztofora:

— Czy prawdą jest, że wyrzuciłeś oknem hr. Balabina?

Krysztofor wyjaśnił rzecz następująco:

— Bogaty Ormianin ożenił się niedawno z młodą i piękną panną z Georgji, a był tak nieopatrzny, że wziął na kwaterę przystojnego porucznika od ułanów. Gdy pewnego razu wszedł niespodzianie do pokoju swej małżonki, zastał go tamże. Ormianin był tęgim chłopem, nie namyślając się więc długo, schwycił za kołnierz intruza i wyrzucił go najkrótszą drogą, to jest prze okno na ulicę, a obecnie żądał satysfakcji, oskarżając hrabiego Balabina i żonę swoją o wiarołomstwo. Zatem nie on jest obowiązany do zapłacenia odszkodowania mużykowi, lecz hrabia winien być ukarany za miłostki z cudzą żoną.

Balabin utrzymywał jednakże ,że była to miłość całkiem platoniczna.

— W tym razie trzeba skarcić i owego Platona, bo jest nicponiem — zauważył Krysztofor.

Sędziowie byli wielce zakłopotani, nie wiedząc, kto właściwie zawinił w tym wypadku.

Tymczasem Krysztofor widząc, że sprawa staje się coraz zawilszą, zawezwał rzeczoznawcę, to jest adwokata, który zaplątał ją jeszcze więcej.

Wyszperał on w ukazie carskim z roku 1799, że gospodarzowi domu wolno wyrzucić oknem każdy sprzęt, który zawadza mu w pokoju; oczywiście hrabia Balabin był takim sprzętem zbytecznym w sypialni Ormianina, zatem miał wszelkie prawo wyrzucić go na ulicę.

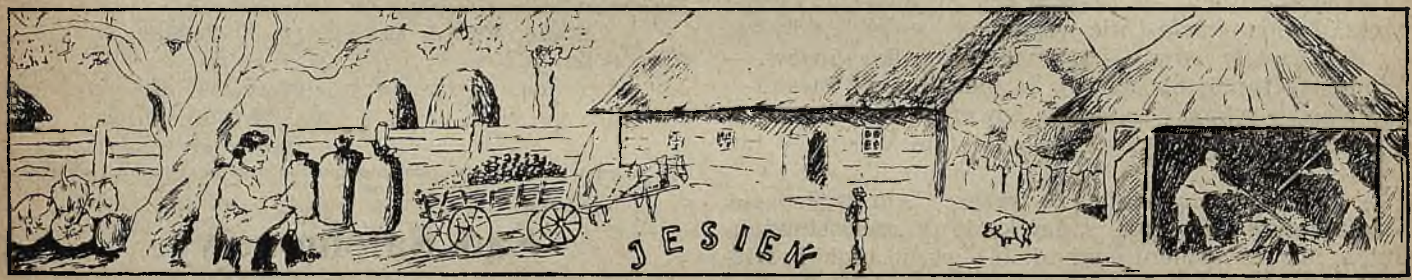
Lecz hrabia z swej strony postarał się także o adwokata i ten odszukał niebawem w owym ukazie paragraf opiewający, iż ktokolwiek wyrzuca na ulicę sprzęt jakiś, winien zawołać przedtem po trzykroć: „baczność!“ czego zaniedbał uczynić pan Krysztofor.

Wydano tedy następujący werdykt:

„My sędziowie... w Kameniku orzekamy na mocy ukazu najjaśniejszego cesarza Pawła I-go, że każdemu gospodarzowi domu wolno wyrzucić oknem sprzęt zawadzający mu, a ponieważ porucznik od ułanów w pokoju męża mającego młodą żonę jest sprzętem zbytecznym, uwalniamy więc pana Mikołaja Krysztofora od winy i kary, nie przypisując mu zamiarów zbrodniczych, gdyż hrabiego Balabina nie wyrzucił oknem jako takiego, lecz jako sprzęt zawadzający mu w pokoju. Zważywszy jednakże, iż według tegoż ukazu obowiązkiem jest gospodarza domu wyrzucając sprzęt na ulicę zawołać po trzykroć: „baczność!“ a w razie zaniedbania tego ostrzeżenia przewidziana jest kara 25 rubli i odszkodowanie za wszelki nieszczęśliwy wypadek, mogący ztąd wyniknąć... skazujemy zatem pana Krysztofora na zapłacenie 25 rubli kary i na 200 złotych odszkodowania mużykowi.

Co zaś do wiarołomstwa — sprawa ta nie należy do naszej kompetencji, rozsądzić ją winni duchowni“.

Podobno car przeczytawszy werdykt tego sądu salomonowego, śmiał się do rozpuku.



Poradnik gospodarczy.

Zbiór owoców przeważnie już dokonany, albo jest na ukończeniu. Wprawdzie u nas wielkich sadów niema zbyt wiele, to też i z pozbyciem się owoców nie mamy wielkiego kłopotu, ale często i tych małych ilości nie umiemy należycie zużytkować. A zużytkowanie owoców jest wielorakie. Gdzie są lepsze odmiany w większej ilości, tam korzystniej sprzedawać można, wysyłając wagonami do miast większych. Kółka rolnicze znowu nadają się do tego, aby w takiej sprzedaży pośredniczyć. Zagranicą potrzebują znacznych ilości owoców do wyrobu jabłecznika i chętnie kupują większe ilości jabłek.

I u nas wyrób jabłecznika mógłby przynieść niemałą korzyść, gdyż przy obfitym urodzaju owoców nieraz niewadomo, co z nimi robić. Jabłecznik jest zdrowym i smacznym napojem, lepszym zawsze, niż liche i fałszywe wino. Wyrobu jabłecznika łatwo się nauczyć, a narzędzia potrzebne, jak młynek do gniecenia jabłek, prasa do wyciskania soku i kadzie, albo beczki do zaczynania są dla jednego wprawdzie za drogie, ale na wspólny użytek mogą być zakupione łatwo. Drugim sposobem zużytkowania wszystkich owoców, szczególnie śliwek w okolicach podgórskich jest suszenie. Suszenie dymne na takich suszarniach, jakie są po największej części po wsiach daje owoc zadymiony, niesmaczny, posiadający małą wartość. O wiele lepiej płacą za śliwki suszone bez dymu, w gorącem powietrzu, w stosownych suszarniach. Suszarnie takie, poprawne, są rozmaitej wielkości. Większe można kupować na spółkę, aby suszyć znaczne ilości owoców na sprzedaż, ale są i małe suszarnie, które dadzą się ustawić na każdej kuchni domowej; najwięcej polecenia godne są suszarki geisenheimskie. Wyrabiają je już w kraju, tak samo dobre, a tańsze niż zagranicą.

Do suszenia należy gruszki i jabłka obrać ze skórki, a z jabłek powykrawać środki, poprzekrawać na połowę lub na ćwiartki albo plasterki, otrzyma się towar delikatniejszy i ususzy prędzej. Gruszki najpiej suszy się poprzednio lekko obgotowane w skórce. Suszyć należy stopniowo przy gorącu niezbyt silnem, aby nie spalić, co się zdarza często przy suszeniu w piecu chlebowym zbyt gorącym; najstosowniejsze jest ciepło około 60 stopni (na 100 stopniowym termometrze).

Suszarnie takie nadają się doskonale także do suszenia różnych warzyw na użytek w zimie lub na sprzedaż. Młoda marchewka, pietruszka, młody groszek, groszek zielony, pomidory czyli rajskie jabłka poprzekrawane na połowę, fasolka szparagowa w strączkach po osuszeniu dają się długo przechować, a potem rozmoczone przez parę godzin, mogą służyć do gotowania na przyprawę do jadła.

Jedną z małouprawianych roślin, któraby jednak mogła przynieść wielkie korzyści, są kalafiory. I one dadzą się na zimę zachować. Blizko sufitu czy powały w piwnicy ponaciągać sznurki. Kalafiory wyrwane późną jesienią, lecz nie tknięte mrozem, powiązać łyczkiem parami i wieszać je na sznurkach tak, aby jedna para drugiej nie dotykała. Przed powieszeniem wszystkie dolne liście obłamać, zostawiając tylko te, które okrywają różę kwiatową. W dzień okna piwnicy trzymać otwarte i tylko na noc je zamykać, aby ochronić od mrozu. Często przeglądać głowy, aby wszystkie, zaczynające się psuć, zużyć w czas. Takie psujące się głowy zaraziłyby zgnilizną inne. Tak przechowane kalafiory, o ile nie były nadmarznięte na grzędach, trwają nieraz do Bożego Narodzenia.

To jest sposób konserwowania kalafiorów rozwiniętych. Te głowy, które dopiero co się zaczęły formować, należy przechowywać inaczej. Robi się w piwnicy grządki z piasku i na nich się zasadza kalafiory wyjęte z korzeniami i z ziemią je otaczającą. Należy to robić natychmiast po wyjęciu z ziemi, aby korzenie nie obeschły. Pożółkłe liście należy usunąć przed przeniesieniem do piwnicy, a pozostałe związać lekko łyczkiem ponad kwiatem. Przeglądać często, aby wybrać na użytek te, które się mogą zacząć psuć. Oba sposoby są dobre i wypróbowane. Należy tylko używać kalafjorów późnych twardych gatunków i zupełnie nietkniętych mrozem. Zmrożonych nic nie uratuje, zgniją w ciągu tygodnia i praca około ich przeniesienia pójdzie na marne.

Wielu ludzi zakupuje ziemniaki na zimę. Aby wiedzieć, które ziemniaki dadzą się dobrze przechowywać, trzeba zrobić następującą próbę: rozkrawa się kartofel na pół i przykłada do siebie obie połowy mocno ściskając, jeżeli kartofel twardy, wlepi się tak, że trudno go rozdzielić; w przeciwnym razie sam się rozlatuje.

Rośliny, wysadzone na powietrzu bez doniczek, nie powinny pozostawać na grządkach aż do ostatniej chwili. Trzeba je powsadzać do donic o tyle wcześniej, żeby jeszcze miały czas puścić z nich korzenie. Robi się to więc w miesiącu wrześniu lub z początkiem października. Przy wyjmowaniu należy o ile możności uszanować bryłę korzeniową, potem ostrożnie zmniejszyć rękami bryłę tak, żeby ziemia odpadła, a korzenie nie zostały uszkodzone i zwieszały się długiemi motkami. Świeże powsadzane rośliny ustawia się w cieniu drzewa lub ściany. Tu pozostają przez tydzień lub dwa, poczem się je przenosi do pokoju.

Pomoc ze strony rządu dla Małopolski zachodniej.

W związku z klęskami elementarnemi i powodziami, które dotknęły i Małopolskę zachodnią, a w szczególności w dużym stopniu cały powiat ropczycki, częściowo jasielski i całą Orawę, rząd wyasygnował dotąd na pomoc: na zasiewy w jesieni tego roku 480.000 zł.; na roboty wodne i drogowe dla usunięcia zniszczeń powodziowych 150.000 zł.; na doraźne zapomogi dla najbiedniejszych poszkodowanych 40.000 zł. W związku z powyższem wojewoda krakowski zwołał posiedzenia wojewódzkiego komitetu pomocy rolnej w Krakowie przy współudziale Spółdzielni rolniczo-handlowych i rolniczo-kredytowych, który to komitet na odbytych posiedzeniach w dniu 14 i 24 bm. rozdzielił sumę przeznaczoną na zasiewy dla następujących powiatów: dla powiatu ropczyckiego 120.000 zł., jasielskiego 35.000 zł., nowosandeckiego 35.000 zł., bocheńskiego 35.000 zł., limanowskiego 30.000 zł., makowskiego 30.000 zł., tarnowskiego 30.000 zł., pilzneńskiego 30.000 zł., brzeskiego 22.000 zł., wielickiego 20.000 zł., gorlickiego 20.000 zł., grybowskiego 18.000 zł., chrzanowskiego 16.000 zł., mieleckiego 15.000 zł., nowotarskiego 10.000 zł., dąbrowskiego 8.000 zł., myślenickiego 6.000 zł.

Należy zaznaczyć, że suma powyższa pokrywa całe ustalone zapotrzebowanie. Rozdziału powyższych kredytów dokonano, opierając się na wykazach szkód zestawionych przez poszczególne starostwa, skontrolowanych następnie przez naczelnika wydziału rolnictwa Dr Szymusika. Równocześnie uchwalono odnieść się do ministerstwa rolnictwa o przesunięcie terminu spłaty rzeczonych kredytów do jesieni roku przyszłego.

W związku z tą akcją pomocy ze strony rządu poszkodowanym pan wojwoda krakowski w towarzystwie naczelnika wydziału rolnictwa Dr Szymusika dokonał objazdu w dniach od 16—20 bm. powiatów: myślenickiego, limanowskiego, nowosądeckiego, grybowskiego, gorlickiego, jasielskiego, pilzneńskiego, ropczyckiego, tarnowskiego oraz Oraw yi Spisza (pow. nowotarski), gdzie, objeżdżając poszczgólne gminy dotknięte powodzią względnie gradobiciem, odbył konferencje z wieloma wójtami w celu zapoznania się bezpośrednio z potrzebami gmin, które najwięcej ucierpiały i zarazem rozdzielił dla najbardziej potrzebujących gmin wymienione 40.000 zł. na doraźną pomoc. Również na miejscu zakomunikowano wójtom o pomocy kredytowej na zasiewy. Pan wojewoda wysłuchał wszędzie życzeń ludności, a w szczególności w pasie pogranicznym w jasielskim powiecie, oraz na Orawie i Spiszu. W Jurgowie na Spiszu zgłosiła się do pana wojwody delegacja gmin: Jurgów, Czarnogóra i Rzepiska, która uskarżała się na wysokie opłaty weterynaryjne od przeglądu bydła i owiec, pędzonych na wiosnę na pastwiska leżące w Czechosłowacji. Opłaty te: 1 zł. za oględziny od krowy, a 30 gr. za oględziny od owcy pan wojewoda uznał za niesłychanie wygórowane, a przeważnie bezprawne. Pan wojewoda przyrzekł ludności tych gmin, że nadmierne opłaty uchyli. Również przyrzekł pogranicznym gminom, że wyjedna wcześniejsze otwieranie granicy stosownie do potrzeb ludności rolniczej. W Jurgowie, gdzie zgromadziły się delegacje wielu gmin sąsiednich oraz z Bukowiny, pan wojewoda był uroczyście powitany przez przedstawicieli gmin i miejscowe duchowieństwo. Dziekan nowotarski ks. prałat Dr Madej (b. poseł na sejm ustawodawczy) wygłosił bardzo serdeczne powitanie i prosił o zakomunikowanie rządowi, że może w zupełności liczyć na duchowieństwo na tych rubieżach państwa, które w pełni rozumie konieczność współpracy z nim.

W powrotnej drodze pan wojewoda wstąpił do gminy Białki, gdzie konferował z przedstawicielami gminy, a zarazem odwiedził ks. prałata Madeja.

KRONIKA.

Straszny wypadek na polowaniu. Z Podhajec donoszą: Jan Szmidt, dzierżawca dóbr w Sławentynie, pow. Podhajce, zaprosił swego przyjaciela Jana Helwiga, ze Stryja do wzięcia udziału w polowaniu na dziki. Obaj przyjaciele w towarzystwie dalszych myśliwych udali się na polowanie. Myśliwi obrali stanowiska, przyczem do godz. 10 wieczór nie wolno było żadnemu opuszczać swego stanowiska. W pewnym momencie zauważył Helwig jakieś ruchy. Sądząc, że dzik nadchodzi, strzelił. Kto opisze jego przerażenie, gdy zbliżywszy się spostrzegł, że zamiast domniemanego dzika strzelił do Schmidta, trafiając go w serce. Wszelki ratunek był już niemożliwy i postrzelony w dwu-godzinnych męczarniach życie zakończył. Przeprowadzone dochodzenia policyjne stwierdziły, że nieszczęście spowodował sam Schmidt.

Cudem ocalona. Ze Stanisławowa donoszą: W Bystrzycy na Mazurówce używała kąpieli niejaka Paulina Dudiak z Sambora. Korzystając ze słońca, położyła się ona na brzegu i usnęła. W międzyczasie fale rzeki podmyły brzeg i poniosły go ze sobą wraz z Dudiakówną. Nieszczęśliwa, obudziwszy się nagle, spostrzegła z przerażeniem, że prąd wody poniósł ją na głębię i grozi jej niechybna śmierć. Wszczęła więc rozpaczne wołanie o pomoc, mimo że nikogo w pobliżu nie było. Na szczęście odbywał właśnie patrol konny posterunkowy policji, który zobaczywszy borykającą się z falami kobietę — wskoczył na koniu do wody i po długich zmaganiach z żywiołem, wyciągnął ją na brzeg.

Siedm lat pod kluczem. Od dłuższego czasu wśród mieszkańców ul. Grzybowskiej w Warszawie krążyły głuche wieści, że w domu pod l. 10 jest uwięziony jakiś człowiek. Mianowicie w wymienionym domu, w mieszkaniu rodziny Hasfeldów, znaleziono rzeczywiście w jednej z ubikacyj uwięzionego 30-letniego Szola Hasfelda, syna właściciela mieszkania, który trzymamy był tam od lat już siedmiu. Więziono go w alkowie, do której wejść absolutnie nie było można bez maski gazowej, tak straszliwy panował w niej fetor. Ściany alkowy pokryte były wydzielinami ludzkiemi, na podłodze leżała zgniła zupełnie słoma, a wśród niej stał rodzaj korytka, w formie trumny, w którem znaleziono skulony i nagi zupełnie szkielet ludzki z długą, sięgającą do pasa brodą. Nieszczęśliwy był tak wychudzony, że nogi i ręce jego były grubości cienkiej świecy, a okrywała je sina, pomarszczona skóra. Wedle zebranych przez policję szczegółów, Szol przebywał w tem ohydnem więzieniu od 1919 roku, kiedy to popadł w melancholję z obawy przed wzięciem go do wojska. Rodzina zamknęła go wtedy w wspomnianej alkowie. Szol początkowo milczał, lecz po jakimś czasie zaczął dopominać się, aby wypuszczono go na wolność i zaczął wydawać z siebie rozpaczliwe okrzyki, które później przez całe lata niepokoiły mieszkańców okolicznych domów. Przez cały czas nie był ani razu wypuszczony ze swego więzienia. O straszliwym stanie, do jakiego doszedł w tej ohydnej kryjówce, świadczy fakt, że gdy go wyjęto z korytka, w którem leżał przy pierwszej zaraz próbie poruszenia ciało zaczęło odpadać od pleców, odsłaniając nagie kości. Szol w czasie ataków szału, jakim ulegał już w początkach, podarł na sobie ubranie i odtąd przebywał w swem więzieniu zupełnie nagi wśród miljonów najrozmaitszych insektów i robactwa. Od kilku tygodni przestał już wydawać z siebie jęki, a to z tego powodu, że właśnie przed kilku tygodniami umarła jego matka, która jedyna z całej rodziny jeszcze się nim zajmowała i doglądała go. Po śmierci matki nastał dla Szola okres głodowy, gdyż nietylko nie dawano mu nic jeść, ale odebrano mu nawet wodę, tak że popadł w zupełną niemoc. Dziś mówić może jedynie ledwo dosłyszalnym szeptem. W chwili gdy go znaleziono, był zupełnie nieprzytomny. Odwieziono go natychmiast w stanie prawie beznadziejnym do szpitala. Policja, po spisaniu protokołu, aresztowała ojca i brata. Obaj zachowywali się podczas przesłuchania wyzywająco i twierdzili, że nie mieli innego sposobu na warjata, gdyż nie chciał go przyjąć żaden szpital.

Ujęcie bandy usypiaczy. Policja bydgoska wykryła bandę usypiaczy, która grasowała na tamtejszych kolejach i przez dłuższy czas wymykała się z rąk sprawiedliwości. Ostatnio banda ta uśpiła w przedziale trzeciej klasy pociągu, idącego z Gdańska, emigranta z Ameryki, niejakiego Katkowskiego, i zrabowała mu 1.200 dolarów. Złoczyńcy usypiali swoje ofiary przeważnie wódką, zmieszaną z usypiającym narkotykiem.

Niezwykła propaganda wyborcza. We Francji mają nastąpić wkrótce wybory do parlamentu. Na iście amerykański sposób agitacyjny wpadli niektórzy tamtejsi lekarze. A mianowicie w jednem z południowych miasteczek dwaj tamtejsi lekarze ogłosili, że podejmują się bezpłatnie leczyć tych ludzi, którzy w dniu wyborów zobowiążą się głosować na wskazanego przez nich kandydata. A więc zdrowie mieszkańców tego miasta zależy od przekonań partyjnych rozpolitykowanych lekarzy.

Ośm kilometrów we śnie. We wsi Ousol, pod Czerniowcami, żyje chłopiec, Wasyl Pantea, cierpiący na lunatyzm. Podczas ostatniej pełni księżyca chłopiec, podniecany światłem księżycowem, wstał z łóżka i śpiąc wyszedł z chaty, przeszedł rzekę Bystrzycę, która wyschła niemal zupełnie wskutek suszy, poczem skierował się ku górze Ousol, której szczyt jest trudno dostępny nawet dla górali z powodu stromych, skalistych zboczy, wspiął się na ten szczyt bez trudu i właśnie schodził z niego, gdy spostrzegli go i obudzili pasterze, pilnujący stad w górach. I okazało się, że chłopiec przeszedł we śnie ośm kilometrów, nie wiedząc zupełnie, iż brodzi przez rzekę i wspina się na bardzo niebezpieczną górę.

Kara na miejscu. W pewnej miejscowości położonej na granicy węgiersko-rumuńskiej było niedawno zdarzenie tragiczne, nie pozbawione jednak przy tem humoru. Oto w pobliżu tej miejscowości rozłożyła się obozem banda cygańska. Nocami wychodziła ona z obozu na łup, zabierając, co tylko wpadło jej w ręce. — Jednej nocy wtargnęła owa banda do apteki. Tam pozabierała różne lekarstwa i udała się do swych namiotów. Cyganie rozpoczęli tu ucztę, racząc się skradzionemi lekarstwami, gdyż mniemali, że to są jakieś soki, lub inne napoje. Niektóre smakowały im bardzo, ze względu na swój smak słodki. Ale między lekarstwami były i takie, które okazały się trującemi. Toteż trucizny te sprawiły, że łako-



mi cyganie-złodzieje zostali ukarani na miejscu, gdyż kilkanaście osób zachorowało, a kilka wśród najokropniejszych męczarni zmarło tej samej nocy.



Ratunek był bardzo utrudniony z tego właśnie powodu, iż w aptece nie było potrzebnych lekarstw, ktore przywołany lekarz zapisał, gdyż je już przedtem cyganie powypijali. Łakomstwo i kradzież zostały na miejscu ukarane.

Wielomęstwo. Przed sądem w jednym z małych miasteczek czechosłowackich toczyła się oryginalna sprawa p. Olgi Chimninetz, oskarżonej o... wielomęstwo. Tak, p. Olga, kobieta już koło czterdziestki miała aż sześciu mężów. Po śmierci pierwszego wyszła za mąż za drugiego, z drugim „zapomniawszy" wziąć rozwód, wyszła za trzeciego i tak dociągnęła aż do pięciu stale „zapominając" wziąć rozwód. Na rozprawie p. Olga tak się tłomaczyła:

— Panowie sędziowie, jestem temu niewinna. Gdy umierał mój pierwszy mąż — Boże świeć nad jego duszą — musiałam mu przysiądz, że nie wyjdę powtórnie zamąż. Aliści po pewnym czasie sprzykrzył mi się samotny żywot, więc wyszłam poraz drugi zamąż. Wtedy zaczęły się dziać straszne rzeczy. Co noc ukazywało mi się widmo mego nieboszczyka męża, przeklinając mnie i grożąc zemstą za to, żem złamała przysięgę... Cóż miałam robić? Rozeszłam się z drugim mężem... Lecz znowu sprzykrzyła mi się samotność... Poszukałam sobie trzeciego męża. I znowu widmo nieboszczyka zaczęło mnie straszyć... Opuściłam więc i trzeciego męża... Tak było nim nie pojęłam piątego męża.

Sąd wysłuchał cierpliwie wywodów oskarżonej. Lecz ponieważ nie mogła ona, oczywiście, udowodnić, że naprawdę ją straszył „zazdrosny nieboszczyk", jej pierwszy mąż — skazał ją na pięć miesięcy więzienia, po miesiącu na każdego. Opuszczeni mężowie, obecni podczas rozprawy, odetchnęli z ulgą: byli pomszczeni.

Prawa dla osłów. W małem miasteczku angielskiem Zutham Sante-Anne lubiane są zwierzęta, a osły w szczególności. Otóż w tych dniach zarząd tego miasta postanowił, że każdy osioł, stanowiący własność obywatela tej mieściny, nie może więcej pracować niż 8 godzin dziennie i musi raz w tygodniu korzystać z jednodniowego spoczynku. Niema to, jak być osłem!

Nagroda za lenistwo. Dyrektor jednego z wielkich składów towarowych w Berlinie, obchodząc składy, zauważył chłopca, rozciągniętego leniwie na ławce w kącie jednego ze składów i zajadającego ciastko. Oburzony tem, zawołał ostro:

— Jak się nazywasz i co zarabiasz?

Na te słowa chłopiec podniósł się zwolna z ławki i odparł:

— Nazywam się Martin, a zarabiam dwadzieścia marek tygodniowo.

Dyrektor wydobył notatnik z kieszeni, napisał kilka słów na kartce i doręczył ją chłopcu.

— Masz tu — rzekł — kwit na twoją płacę tygodniową. Idź mi zaraz do kasjera, odbierz pieniądze i nie pokazuj się więcej. Leniuchów takich nie potrzebuję!

Chłopak wziął kartkę i zniknął.

Następnego dnia kasjer zainterpelował dyrektora:

— Zgodnie z pańskim kwitem wypłaciłem wczoraj Martinowi dwadzieścia marek, ale u nas nie pracuje chłopiec tego nazwiska, na czyj więc rachunek zapisać tę sumę?

I okazało się, że był to chłopiec z jakiejś innej firmy, przysłany po coś do składu towarowego. Zagadnięty przez nieznanego sobie dyrektora, nie stracił przytomności umysłu, wziął podany sobie kwit i zainkasował pieniądze. Ten zajdzie chyba daleko!

Bankier i jego lew. Do bankiera M. w Londynie zgłosiła się przed rokiem jedna z jego dłużniczek i ofiarowała mu tytułem zastawu lwiątko nazwiskiem Bonzo. Bankier oddawna pragnął posiadać lwa i zastaw przyjął z radością. Bonzo wychowywał się w jego willi za miastem, w ogrodzie i bawił się rozkosznie ze wszystkimi. Kiedy jednak zaczął podrastać, odezwała się w nim krwiożercza natura, której ofiarą padło mnóstwo drobiu i królików. Nie zadowolony tem, Bonzo pewnego dnia zaatakował ogrodnika, który tylko szczęściem zdołał się ocalić. Nie było innej rady, bankier musiał oddać lwa na „pensję" do ustronnej fermy na prowincji. Ale apetyt Bonza wzrastał z dniem każdym i wkrótce kozy i barany okoliczne zaczęły się przenosić do żołądka Bonza, co wszystko bankier musiał sowicie opłacać. Niezadowolony ofiarował lwa londyńskiemu ogrodowi zoologicznemu, ale tu odmówiono, gdyż ogród chowa tylko takie zwierzęta dzikie, które tam się ulęgły. Niedawno pojawiły się w dziennikach londyńskich następujące ogłoszenia:

„Do sprzedania lew Bonzo, 18 miesięcy, urodzony w Kenya, w Afryce. Odznacza się dzikim apetytem i takimże charakterem. Mógłby z pożytkiem służyć za stróża niezamieszkałych will. Zgłaszać się do bankiera M., który odda go za każdą cenę".

Dotychczas jednak nie zgłosił się żaden amator na Bonza.

Dom roztaczający zapach fiołków. Chemicy, architekci i okultyści angielscy badają niezwykły fenomen, jaki zdarzył się w hrabstwie Monmouth, w domu pewnej bogatej Angielki. Przed kilku tygodniami mieszkańcy domu poczuli niezwykle silny zapach fiołków. Woń kwiatów była tak odurzająca, iż uniemożliwiała pobyt w domu. Zdarto wszystkie tapety, pobielono ściany, wprowadzono elektryczne wentylatory, nic jednak nie pomagało. Zapach fiołków odurzał mieszkańców i zmusił ich do opuszczenia domu. Tajemniczość tego zjawiska podnosi fakt, iż poprzednią właścicielkę domu zastrzelił w przystępie zazdrości jej mąż w chwili, gdy zajęta była wkładaniem fiołków do wazonu. Od tej chwili minęło już 25 lat i w rocznicę tego tragicznego wypadku poczuli mieszkańcy odurzający zapach fiołków.

Osiemnaście lat pod ziemią. W tych dniach dokonano w Paryżu ciekawego odkrycia. Przy naprawianiu sieci kanalizacyjnej pewnego odcinka znaleziono w podziemiach człowieka, który w tem ohydnem miejscu przepędził 18 lat życia. Nie miał on najmniejszego pojęcia o tem, co się przez ten czas działo na świecie, nie wiedział więc także nic o wojnie europejskiej. Nieszczęśliwy ten nazywa się Franciszek Dublot i ma lat 53. Wygląda on jak widmo, zapomniał prawie zupełnie

mowy ludzkiej i jak przypuszczają lekarze, od tyłotetniego milczenia jego struny głosowe musiały obumrzeć. Niezwykły ten eremita odżywiał się odpadkami jarzyn, które zbierał w halach paryskich w nocy, wydostając się na powierzchnię jakąś, sobie tylko wiadomą drogą. Jedzenie to dzielił ze szczurami, jedynymi towarzyszami jego strasznego życia, pędzonego w ciemnym i cuchnącym lochu. Niestrzyżone włosy i zarost nadały mu tak straszny wygląd, że robotnicy przerażeni jego widokiem, wzięli go z początku za jakieś zupełnie nieznane stworzenie.

— Myślicie, żeście mi zrobili dobrodziejstwo — wybełkotał z trudnością, gdy go sprowadzono do komisarjatu. — Ale wy jesteście idjoci, czemu nie pozostawiacie w spokoju umarłych? Tam jest o wiele lepiej, tam, gdzie nie potrzeba myśleć i pamiętać.

Na pytanie, co go skłoniło do tak strasznej ucieczki od świata, dziwak ten odparł:

— Może znienawidziłem świat, może pragnąłem zapomnieć o kobiecie, która mnie oszukała... Bądźcie miłosierni i pozostawcie mnie tam, gdzie jedynymi towarzyszami były mi szczury.

Policji paryskiej udało się ustalić, że domniemany Dublot rzeczywiście zniknął w tajemniczy sposób przed 20 laty. Zaginiony był bibljotekarzem pewnej bibljoteki i prowadził ciche i spokojne życie.

Śmierć lotnika w oczach rodziców. Młody uczeń szkoły pilotów w Angers (Francja) Mercier latał nad miejscowością Joue-le-Tours, gdy nagle wskutek defektu motor przestał funkcjonować. Aparat spadł. Wywiązała się przy upadku eksplozja i samolot zdruzgotany stanął w płomieniach.



Przybiegli pobliscy mieszkańcy. Między nimi znaleźli się rodzice pilota, który spadł o 400 metrów od domu w którym zamieszkiwał. Można sobie wyobrazić ból rodziców na widok syna, który tuż pod swym domem tragicznie skończył.

Zabawne zdarzenie. Ulicami Bazylei szedł sobie jakiś otyły pan. Nagle poślizgnął się na skórce pomarańczy i aby nie upaść, uchwycił się najbliżej znajdującego się przedmiotu. Nieszczęście chciało, że przedmiotem tym była spodnica jednej ze stojących opodal kumoszek. Tłuścioch był za ciężki, sukienka za słaba i w tem całe nieszczęście. Wiotki strój niewieści nie wytrzymał ciężaru, ale z ręką upadającego osunął się na ziemię. Kumoszka została tylko w niezbyt śnieżnej białości majteczkach. To jej dało powód do wytoczenia procesu. Sąd miał wiele wątpliwości, ale ostatecznie uwolnił grubasa od winy i kary. Dobrowolnie kupił on poszkodowanej nową sukienkę i za mimowolną przykrość przeprosił. Z tego nauka, że lepiej nos rozbić, jak czepiać się babskiej spodnicy.

Cztery razy skazany na śmierć. W ubiegłym tygodniu stracono w Ameryce dwóch ludzi nazwiskiem Sacco i Vanzetti, którzy 7 lat po zasądzeniu czekali na wykonanie wyroku. Cały świat niemal poruszył się, żądając ich ułaskawienia, gdyż sąd właściwie żadnej winy im nie udowodnił. Nie udały się wszelkie starania i skazańcy ponieśli, niewiadomo, zasłużoną czy niezasłużoną karę. Z okazji tej egzekucji dzienniki amerykańskie przypominają, że w więzieniu w Chicago znajduje się skazaniec, nad którym od lat trzech wisi niewykonany wyrok śmierci. Człowiek ten, którego nazwisko jest Russel Scott, znosi swój los z całym filozoficznym spokojem. Nazywają go „człowiekiem, którego nie można powiesić". Trzykrotnie był on już o włosek blisko szubienicy, a cztery razy rozkaz odroczenia egzekucji przychodził w ostatniej poprzedzającej ją chwili. W kwietniu 1925 r. skazano go na śmierć za zabójstwo posługacza aptecznego. Dla dodatkowego jednak zebrania ostatecznych jeszcze motywów odroczono wykonanie wyroku na kilka tygodni. Za drugim razem, gdy już szedł na szafot, wybawił go list brata jego, Roberta, uwięzionego również za współudział w tem morderstwie. W liście tym Robert oświadczał, że sam jedynie bez pomocy brata popełnił zabójstwo owego posługacza. Była to mistyfikacja, tem nie mniej Russel uniknął znowu stryczka. Nieco później adwokat skazańca zdołał zeń zrobić niepoczytalnego i obłąkanego człowieka. Odesłano go wówczas dla zbadania do domu zdrowia, po kilku jednak miesiącach obserwacja wykazała całkowitą jego normalność. Wreszcie najwyższy trybunał w stanie Illinois zadecydował, że jest już najwyższy czas, aby wykonać wyrok i wówczas Scott, który był kiedyś aktorem, oświadczył: Umierałem w życiu mojem już tyle razy na scenie, że śmierć na prawdziwej szubienicy nie przeraża mnie zupełnie.

Siedm całusów rocznie. Kupiec w Los Angelos, nazwiskiem Lawrence Wilron, stanął teraz przed sądem, domagając się rozwodu, gdyż żona, którą bardzo kocha, pozwala całować się tylko siedm razy na rok. Sąd znalazł się w poważnym kłopocie, bo wiele jest powodów, stanowiących o tem, że dane małżeństwo żyć z sobą nie może, dotąd jednak nigdy się nie zdarzyło, by ktoś domagał się rozwodu ze względu na niewystarczającą ilość pocałunków. Po zastanowieniu sąd doszedł do wniosku, iż nie może w danym wypadku wyrokować choćby z tego względu, że przecie o pocałunkach nigdy się nie mówiło w ten sposób, jakgdyby wchodziły one w zakres powinności małżeńskich.

Czy można wierzyć w słowo honoru zbrodniarza? Po wylewie Missisipi potrzebowano w obszarach dotkniętych wylewem jak najwięcej sił roboczych. Wszędzie rozglądano się za chętnymi do pracy, którzyby pomogli do zacierania śladów owej wielkiej katastrofy żywiołowej. Między innymi posłano do pracy także 600 więźniów. Przedtem jednak zapytano ich, czy chcą dać słowo honoru, że przez cały czas wolności nie przedsięwezmą żadnej próby ucieczki i że po ukończeniu robót znowu powrócą do więzienia. Wszyscy bez wyjątku zgodzili się na to. I naprawdę nie było gorliwszych i lepszych pracowników nad tych właśnie wyrzutków społeczeństwa. Na tych 600 jeden tylko złamał swoje słowo i uciekł. Ale i ten nazajutrz wrócił i ze skruchą prosił, aby mu nadal pozwolono pracować. Po ukończeniu prac wszyscy wierni danemu słowu powrócili do więzienia. Rząd amerykański jednak w uznaniu ich zasług, wszystkim wolność przywrócił.

RZECZY CIEKAWE.

Osa w głowie i szklany brzuch.

Czasem człowiek wyobrazi sobie coś takiego, co wcale nie istnieje i nikomu przekonać się nie da„ że gra tu rolę tylko bujna fantazja. O podobnych wypadkach opowiada p. Trebor Lleb w jednej z gazet wiedeńskich, co następuje:

Byłem przed laty porucznikiem w bośniackim pułku w Bielinie i przyjaźniłem się bardzo z lekarzem pułkowym. Przyjaciel mój miał kljentelę i wśród ludności cywilnej. Pewnego razu poprosił mnie, abym asystował mu przy bardzo ciekawej operacji. Chodziło o rzadką chorobę: jednemu z chłopców wydawało się, że ma w mózgu osę, która mu się tam dostała przez ucho podczas roboty w polu. Nazajutrz rano przywdziałem biały kaftan i udałem się do sali operacyjnej. Siedział już tam pacjent jęcząc głośno z bólu i zatykając sobie uszy. Że operacja nie miała być przeprowadzona na serjo, zaraz się domyśliłem z miny doktora, który mnie poprosił, aby zachować się poważnie. Następnie polecił mi zawiązać oczy chłopcu przepaską. Gdy się to stało, wyjął z małej torebki papierowej jakiś przedmiot i ukrył go w dłoni. Trzymałem pacjenta za ręce, a wtedy lekarz wymierzył mu siarczysty policzek i w jednej chwili zdarł przepaskę.

— Oto osa, którą wydostałem wam z mózgu — zawołał triumfalnie, pokazując chłopcu zawczasu już przygotowaną osę.

Chłopiec był rad niezmiernie i zapewniał, że po tej operacji bóle ustały.

W jakiś czas potem lekarz pułkowy poprosił mnie o asystowanie przy drugiej operacji, równie zajmującej. Właściciel pewnej restauracji dostał manji prześladowczej, że ma brzuch ze szkła. Zwrócił się więc z prośbą do lekarza, aby go zoperował. Lekarz zgodził się z całą powagą.

Przy operacji, podczas której pacjentowi zawiązano także oczy, wymasowano mu dokładnie brzuch. Przez ten czas tłukłem szkło i rzucałem odłamki na ziemię. Potem lekarz wytłumaczył pacjentowi, że usunął mu szkło z żołądka.

Pacjent był uszczęśliwiony i całkiem wyzdrowiał.

Historja maszyny do szycia.

Długo myślano, w jaki sposób ułatwić ludziom mozolną i nudną pracę szycia. Aż wreszcie w r. 1845 zadanie to wykonał Amerykanin Eljasz Howe. Był to zdolny mechanik, lecz niezamożny. Dla wykonania swego wynalazku musiał się więc zapożyczyć, a uzyskawszy patent na swój wynalazek, musiał go odstąpić swym wierzycielom. Jego maszyna jednak nie znalazła uznania w Ameryce. Wtedy Hoffe wyjechał do Anglji. Tam znów musiał odsprzedać swój patent prawie za 2000 zł. zapewniając sobie udział w zyskach z produkcji maszyny. Ale i tu ludzie go zawiedli, nie wypłacając mu należnej tantjemy. Całe szczęście, że udało mu się odebrać patent, znaleść finansistów uczciwszych, którzy dopomogli mu do założenia własnej fabryki. Umarł, będąc miljonerem.

Małżeństwa sławnych ludzi.

Wielu sławnych ludzi w wieku podeszłym pojmowało za żony kobiety młode. Kilka takich przykładów przytaczają gazety codzienne. I tak: znakomity skrzypek-wirtuoz Eugenjusz Ysae, liczący obecnie 71 rok życia, poślubił niedawno uczenicę swoją Anetę Dincin. Znany pianista Teodor Leszetycki, mając lat 78, ożenił się z 28-letnią swoją uczenicą Gabrjelą Rozborską. Małżeństwo zakończyło się po 7 latach jego śmiercią. Ryszard Wagner, kompozytor wielu oper pojął za żonę Cosimę, mającą o 24 lata mniej od niego. Znany muzyk Henryk Marschner, mając lat 60, poprowadził do ołtarza zachwycającą śpiewaczkę, Teresę Janga.

Podaliśmy nazwiska tylko samych muzyków, ale kroniki notują również małżeństwa innych sławnych ludzi w podeszłym wieku z młodymi kobietami i stwierdzają, że były one bardzo szczęśliwe.

Nowy olbrzym morski.

Znana angielska stocznia „Harland i Wolff" w Belfaście, rozpoczęła budowę motoru Diesla o sile 10.000 koni, który poruszać będzie nowy olbrzymi statek pasażerski Tow. White Star Line. Z objętości motoru sądzić można, że chodzi tu o okręt o pojemności ponad 50.000 ton. Nowozbudowany statek kursować będzie między Europą a Stanami Zjednoczonemi A. P. Po ukończeniu budowy tego okrętu i dwóch nowych niemieckich, kursować będzie na tej linji oprócz szeregu małych okrętów 8 olbrzymów morskich ponad 42.000 ton, a mianowicie: 4 angielskie: „Majestic", „Olimpia", „Berengaria" i nowy statek „White Star Line", jeden amerykański „Lewiatan", jeden francuski „Ile de France" oraz 2 niemieckie „Europa" i „Bremen".

Ile zjada dziennie kret.

Pewien profesor francuski zapragnął zbadać, ile kilo pożywienia może zjeść dziennie kret. W tym celu w skrzynce, napełnionej ziemią nieco wilgotną, umieszczono kreta, ważącego 77.5 gr. i poczęto go karmić wyłącznie robakami ziemnemi. W przeciągu dni dwudziestu kret zjadł 997.5 gr. robaków i waga jego zwiększyła się o 8 gr. Dziennie zatem wypada 90 gramów; kret więc zjada więcej pożywienia, aniżeli wynosi jego waga.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 27 wrzenia b. r.

Pszenica .	50·50—51·50	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto . .	00·00—00 00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	32·00—33·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	36·00—39·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	64·00—64·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	22·00—23·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Odpowiedzi Redakcji.

Nuśka Steuerówna w K.: A wie Pani, że to dobra myśl, obawiam się tylko, żeby Panią nie spotkało rozczarowanie. Bardzo proszę. Co do wierszyków, to i owszem — pójdą. Dobre są, ale mogłyby być lepsze, bo jest w nich dużo serca, ale brak im jeszcze pewnej ogłady. Niech Pani czyta dużo, dużo poezji, a forma się udoskonali. Za pozdrowienia dziękujemy i nawzajem pozdrawiamy. Na pracę konkursową czekamy, choćby to był „dziwoląg", bo chcielibyśmy poznać coś z prozy. — **Edward Cygan, Henryk Biłka Głębicki:** Utwory konkursowe otrzymaliśmy. — **Wojciech Byczek:** Na konkurs rzeczywiście za długie. — **Florjan Ciebiera** w Rz.: Stała się pomyłka z winy naszego współpracownika, dlatego pominęliśmy. — **Marja Wawrzykówna** w P.: Utwór otrzymaliśmy, list również. Prenumerata do Czechosłowacji kosztuje tak samo jak w Polsce. Na resztę odpowiemy listownie, gdy tylko nadejdzie natchnienie i chwila wolnego czasu. — **J. Gazda**

w Szufnarowej: Z przeprowadzonej korespondecji z urzędem pocztowym w Wiśniowej dowiedzieliśmy się, że cztery numera reklamowane, które Panu powtórnie przesłaliśmy urząd pocztowy w Wiśniowej oddał posłańcowi gminnemu z uwagą. Jeżeli Pan z tych czterech numerów otrzymał tylko jeden, to trzy w gminie zostały skradzione.

Numera reklamowane po raz trzeci Panu wyślemy — otrzyma Pan przez Starostwo, które oddamy wraz ze skargą do województwa krakowskiego. — **Józef Topolski** w B.: Dziękujemy za interwencję, i cieszy nas, że skutkowała, bo nam teraz dużo potrzeba, aby koniec z końcem związać. Cześć!!

Zagadki do nagrody.

(Ułożył „Yoga" z K.).

1. Logogryf.

■ ☆ ☆ Produkt mleczny.
☆ ■ ☆ Roślina.
☆ ☆ ■ Władca, wspak.
☆ ■ ☆ Przysłówek.
■ ☆ ☆ Módl się, w jęz. martw.
☆ ■ ☆ Bywaj w jęz. martw.
☆ ☆ ■ Imię żeńskie.
☆ ■ ☆ Rzeka w Niemczech
■ ☆ ☆ Przyjaciel Mickiewicza.
☆ ■ ☆ Zjawisko fizyczne.
☆ ☆ ■ Imię biblijne.
☆ ■ ☆ Litera grecka fonet.
■ ☆ ☆ Imię żeńskie.

Litery wstawione w miejsce kwadratów i czytane z góry na dół, dadzą nazwiska dwóch głośnych przywódców z półwyspu Apenińskiego.

2. Zadanie konikowe.

go	w	cy	tość	Zaw	cu
Wpra	czle	sze	je	za	war
czo	dzien	cie	ła	pra	cie
ka	ły	ły	po	cno	szczyt
chwa	ła	w	ca	Ca	Kto

Sposobem konikowym ułożyć wiersz jednego z poetów Polski.

3. Układanka.

. o . o . e . a . . a . . a . . ą .
. o . . o . o . . y . u . . a i . . e . .
a . a . . u . i . . . y . y . o . y . o .
. u . . a . o . a . . ę . ę . o . i

W miejsce kropek wstawić litery i ułożyć wiersz jednego z wieszczów.

4. Przestawianki.

I.

stko, du, się, łecz, do, ło, chę, każ, ło, się, brej, po, z, do, brej, in, proch, kru, ne, szy, szy, de, dzie, my, do, ży, z, ci, ne, czę, po, z, śli, wszy, w, brej.

Z powyższych sylab ułożyć znany wiersz jednego z polskich poetów.

II.

Centnar, kilogram, łut, uncja.

Z powyższych słów wyjąć po jednej literze i ułożyć tytuł znanego utworu polskiej poetki.

III.

mila, cal, stopa, wiorsta.

Z powyższych słów wyjąć po jednej literze i ułożyć tytuł znanej gazety polskiej.

IV.

Yar, len, raj, lek, rau, les, aar, leo, car, tel, rat.

Z powyższych słów wyjąć po jednej literze i ułożyć znaną ustawę państwową.

V.

Liga, lina, laga, Lena, len, las, lira, lato, Lida, lód, Ludwik.

Z powyższych słów wyjąć po jednej literze i utworzyć nazwę związku państw po wojnie świętej.

5. Szarady.

(Nadesłał Władysław Bulek z O.).

I.

Do kawiarni, która wciąż bywa otwarta
Wszedłem i wnet przy mnie leży pierw-
[sza czwarta.
Wikt tu pierwszy trzeci więc sobie kupuję
Co tu kupić można a co mi smakuje.
Dawno tu nie byłem i nie będę prędko;
Więc drugie co mogę, z bardzo wielką
[chętką.
Chcecie wiedzieć całość? Nie powiem wam
[na złość.

II.

W parku, gdzie na drzewach są pierwsze
[i trzecie,
Spaceruje para. Wszak przyjemnie przecie.
Jest panna i piechur, mundur przepisowy
Kolor drugi trzeci. Rozśmiesza ją słowy.
Lecz cóż to? Jak słychać, to jakieś wy-
[mówki.
Pierwszego drugiego miał od białogłówki.
Pierwszy raz to w życiu. Chce pęknąć
[ze złości.
Jak wściekły, czemprędzej umykał w ca-
[łości.

III.

Pierwsze w całości w lesie,
Szedłem, ach to drugie trzecie
Dla każdego chyba człeka.
Lecz cóż, kiedy wróg tam czeka;
W paszczy pierwsze trzecie wróg
Ma dla bosych srogie nóg.
Przeto idąc na całości,
Mieć się trzeba na baczności.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 9 października b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 38 „Roli": 1. Logogryf: Szarża pod Rokitną. 2. Szarady: Batory, fasola. 3. Łamigłówka: Bassara. 4. Zagadki: Mucha, „Ż". 5. Zagadka matematyczna: Mężczyzn było 5, kobiet 5, dzieci 30.

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:
Nie zapomni naród sławy, jaką kwitną
Ci, którzy polegli w Szarży pod Rokitną,
Gdyż tu z Wąsowiczem rotmistrzem na przedzie
Śmiało na Moskala garstka jazdy jedzie.
Jak niegdyś Batory. Choć im koło ucha
Brzęczą wciągle kule niby jaka mucha
Nie zważają na to. Naprzód jechać wolą,
Jakby nie kulami strzelał, lecz fasolą.
A Niemiec dowódca, który „ż" litery,
Nie mógł wypowiedzieć patrzył się z kwatery.
Nie mógł się nadziwić, polskiej waleczności,
Uniesion w zapale, tak krzyknął z radości.
Po trzydzieści Koron pięciu weźmie ludzi,
Po dwadzieścia Koron również pięciu ludzi
A po pięć trzydziestu ludzi też dostanie.
Natychmiast gdy wrócą, płać im kapitanie.
Liczył. A z szeregu garstka pozostała,
A i tę już teraz horda otaczała.
Poddać się nie chcieli, nikt więc nie ocalał,
Lecz trafiony kulą, krwi się strugą zalał.
Dziennikarze wkrótce, po bitwie zjechali
I pobojowisko różnie opisali,
Między nimi także (a było ich chmara)
Był także obecny redaktor Bassara.
Władysław Bulek.

Oprócz tego dobre rozwiązania nadesłali pp.: Kasper Święcicki z D., Florjan Ciebiera z Rz., Wirstnik Gabrjel z Szcz., Wł. Marko z K., „Yoga" z K., Józef Topolski z B., Antoni Frączek z P., Czesław Kozłowski z W., Stefan Dziadkowiec z K., Jakób Markowicz z S., Józef Zagól z K., Władysław Bulek (wierszem), Józef Kaizer z W. G., Alojzy Cieślar z J., Antoni Jurek z K., Mikołaj Słoboda z C. C.

Nagrody wylosowali pp.: Stefan Dziadkowiec i Władysław Bulek.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Dziecko tegoroczne.

Pewna matka zaszła kiedyś do sypialni swego chłopczyka, aby go jeszcze dobrze otulić na noc.

„Zimno mi, matusiu“, rzecze malec i zakrywa się mocniej kołderką.

„Dobrze się nakryj synku. Aniołek będzie przy tobie i będziesz się ogrzewał. Dobra noc, malcze!“

Chłopiec usłuchał matkę, ale po chwili zastanowienia, spogląda na nią, mówiąc: „Czybym zamiast aniołka nie mógł dostać bańki z gorącą wodą?“



Nieporozumienie.

Lekarz zapytuje się żony chorego drwala: „Co mąż jadł dziś na obiad?“

Żona: Wołowinę.

Lekarz pyta dalej: „A jadł ze smakiem?“

Żona: Nie, z chrzanem.



Dziwne włosie.

Nauczyciel pyta się nowoprzybyłego ucznia o stan i zawód ojca“.

„Czem jest twój ojciec?“ — „Siodlarzem“. „A co robi?“ „Skupujemy ogony wole i z nich robi włosie końskie.“



Wszystko w swoim czasie.

Przechodzeń do chłopca, który oprowadza żebraka ociemniałego:

— Od kiedy ojciec twój nie widzi?

— Zwykle od 7 rano do 8 wieczorem.



Wszystko jedno.

Gospodarz: Kiej pan doktór starą obejrzał, to proszę i na krowę spojrzeć i ona też mi coś niedomaga.

Lekarz: Przecież ja nie weterynarz.

Gospodarz: To wszystko jedno, krowa nie będzie tam na to zważać.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli" posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Nowe wydawnictwa.

„Kiedy Anhelli wstępował na Wawel" napisał Robert Rydz. Przepiękny ten poemat powinien znaleźć się w każdej bibljotece. Do nabycia w Administracji „Roli" lub u wydawcy.
Cena 1 zł.

Konkurs.

Chcąc zachęcić naszych Czytelników do próbowania sił na polu literackim, a innym dać jak najwięcej rzeczy ciekawych do czytania, ogłaszamy niniejszem konkurs na powiastkę, opowiadanie, legendę, bajkę, humoreskę lub wreszcie artykuł poważny.

Warunki konkursu są następujące:

Utwór musi być oryginalny, to jest z nikąd nie przepisany, ani przez nikogo innego nie opowiedziany. Musi zawierać treść zajmującą, odpowiednią dla „Roli", napisany w formie przystępnej. Objętość utworu nie może zajmować więcej aniżeli jedną stronnicę „Roli". Musi on być pisany czytelnie, po jednej stronie papieru.

Prace można nadsyłać już. Termin zamknięcia konkursu podamy nieco później. Jako nagrody za najlepsze utwory przeznaczamy kilkanaście cennych książek powieściowych, które otrzymają autorowie 10 najlepszych utworów. Tak nagrodzone, jak i nienagrodzone a dobre utwory będą drukowane kolejno w „Roli".

W razie napłynięcia większej ilości dobrych utworów ilość nagród powiększymy.

Celem ułatwienia pracy sądowi konkursowemu, złożonemu z wydawcy i Redakcji „Roli" prosimy o wczesne nadsyłanie utworów.

Redakcja „Roli".